

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA:

Z przesyłką poczt. lub dostarcz. do domu
Rocznie 8.—
Półrocznie 4.00
Kwartalnie 2.00

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26
Otwarte codziennie prócz świąt od
11 godziny do 4 pp.
Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu 50 k.
W tekście (nadesłane) 1 rb.
Po tekście 20 k.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał 2-gi.

Pod wrażeniem ostatniej powieści Reymonta.

Jakiś bajecznie kolorowy obraz! Co za stypa wspaniała! Hojna niezmiernie i bogata musiała być ta Rzeczpospolita dla swych pupilów, jeżeli na jej pogrzebie tak wesoło, hucznie, z taką pompą i finezją, z taką nieprzebraną werwą i humorem szubienicznym potrafiło się bawić i hulać!

Obraz sejmu grodzieńskiego godzien jest pędzła wielkiego artysty. To też nie szczędził Reymont pracy i barw, by oddać go nam w całej wyrazistości i prawdzie. Na płótnie artysty niema tonów niewyraźnych, zamazanych. Tło klęski dziejowej zostało prześwietlone wszechstronnie. Zajrzał on prawdzie historycznej i społecznej prosto w oczy oraz uwypuklił ją, udostępnił szerszemu ogółowi w formie pięknej, przykuwającej uwagę i tętniącej życiem epoki — w powieści.

Po raz pierwszy... Bo też, aby podjąć to zadanie, potrzeba było nie tylko talentu wielkiego, lecz i odwagi obywatelskiej, lecz i społecznego obiektywizmu.

* * *

W literaturze polskiej, która była i jest dotąd po większej części szlachecka, a więc związana krwią, tradycją z ludźmi owego pamiętnego pokolenia, o odwagę taką i bezstronność było trudno.

Pisarze polscy starali się: albo prawdę historyczną zatuszować, zwalić winy na barki cudze, albo pominąć tło społeczne i wykazać jeno niedolność narodową do tworzenia trwałej organizacji państwowej, lub też w bólu i męce nieszczęśliwych synów wyródných ojców — rzucali na okres upadku Rzeczypospolitej klątwę hańby, całun wzgardy i milczenia.

I trzeba było dopiero okresu lat 120 z górą, by znalazł się pisarz, który ośmielił się unieść ów

całun i pokazać rodakom, jak wyglądała zblizka owa straszna rzeczywistość. A nie jest to wypadkiem tylko, że pisarz ten wyszedł zpoza grona „urodzonych“.

* * *

Zdrada, egoizm, zepsucie — na szczytach, wśród panów i paników...

Egoizm, ciemnota i rozpasanie — wśród szerokiego ogółu szlacheckiego...

Ciemnota, niewola i nędza na nizinach ludowych...

Oto bukiet wartości społecznych, na jaki składała się społeczność ówczesna Rzeczypospolitej.

Wartości te nie odbiegały daleko od wartości społeczeństw państw ościennych — pocieszają się historycy.

Tak, to prawda.

Wartość społeczeństwa szlacheckiego Polski była wówczas, bądź co bądź, wyższa niż sąsiadów ze wschodu, których psychikę zwięzłe, lecz dosadnie uchwycił Reymont.

Lecz, podczas gdy w mocarstwach ościennych wartość społeczna nie grała żadnej roli poważniejszej, a o wszystkim stanowiło państwo, jego władza wykonawcza, nakaz, siła zbrojna, — w Polsce, opartej całkowicie na społeczności, w Polsce, której państwowość opierała się na sumieniu obywateli, upadek tej społeczności musiał doprowadzić do upadku państwa. Inaczej być nie mogło.

Tam, gdzie interes społeczności każdy poszczególny obywatel łączył nierozzerwalnie z interesem własnym, gdzie po za tym interesem własnym jej nie pojmował i nie uznawał, tam tylko niezmiernie wysoki poziom obywatelski ogółu mógł państwowość własną utrzymać.

Nakazy płynęły nie z zewnątrz, a z wewnątrz. Z chwilą przeto, gdy poziom obywatelski, poziom ducha nie tylko przestał się rozwijać, posuwać naprzód — wszecz i wgłąb, lecz się obniżył; z chwili

lą, gdy szlachta otrzymała wszystko, co mogła otrzymać, a z innymi stanami dzielić się wolnością nie chciała, musiało nastąpić rozluźnienie społeczne, chaos i demoralizacja.

Wolności szlacheckie, błogostan i dobrobyt okupione były pograżeniem ostatecznym mas chłopskich w otchłań niedoli.

Idealny ustrój szlachecki przeżarła rdza, pochodząca z potu, łez i krwi ludu.

Targowica — to nie był płód dyplomacji zagranicznej; to był płód zwyrodnienia społecznego szlacheckiej.

Echa rewolucji francuskiej, jakobini, sankiuloci — to były widma stokroć groźniejsze dla ogółu republikańskiej szlachty polskiej, niż obca „opieka”. Ta ostatnia gwarantowała szlachcie i nadal panowanie nad chłopem, gdy nowinki francuskie budziły wśród „hultajstwa” niebezpieczne marzenia i pożądania.

Walczyć gotowi byli głównie szaraczkowie i chudopałkowie szlacheccy, siedzący na pięciu chłopach, t. j. ci, którzy mieli najmniej do stracenia pod względem materialnym, a najwięcej pod względem obywatelskim.

Dla wielkich panów, dla właścicieli setek i tysięcy dusz ludzkich — sprawa wolności inny miała wygląd. Dla nich wolność używania dóbr ziemskich — była wszystkim.

I tylko na tym podkładzie społecznym może być zrozumiałe stanowisko olbrzymiej większości szlachty, która przystąpiła do Targowicy, która zgodziła się na drugi rozbiór, która nie poszła za wezwaniem Naczelnika.

Byli to realisci czystej wody. Byli to „demokraci narodowi” własnych przywilejów i kieszeni.

Jednostki były ofiarne, jednostki były bohaterskie, lecz były to jednostki, potwierdzające regułę.

A nawet wśród tych obywateli, którzy byli szczerymi patriotami, którzy nie brali srebrników, którzy pragnęli walczyć do upadłego o niepodległość, honor i godność ojczyzny, niewielu było takich, co rozumieli przyczyny upadku Rzeczypospo-

litej, co szczerze pragnęli przeobrażenia społecznego. Bali się oni zazdrośnie o dopuszczenie szerokich mas do praw obywatelskich i ludzkich. Bo jakże!... „Wkrótce każdy będzie szlachcicem z województwa Chamskiego z ziemi Chamskiej i herbu Pieczona rzepa na złamanym patyku”.

„Wolność, równość, braterstwo!” — były dla większości patriotów „maksymą jakobińską”.

Pragnęli oni walczyć jedynie o „całość, wolność i niepodległość!” — i dlatego przegrali.

Ich pojęcie ojczyzny, narodu — poza dwór szlachecki, poza szlachtę nie sięgało.

Jaki był stosunek w tych tragicznych czasach do żołnierza polskiego, do żołnierza-chłopa, który miał krwią swą Polskę zachować, maluje wymownie Reymont ustami jednego z nich:

— „A matką ci jeno śmierć, żołnierzu, a przytuleniem — dół! Każdy dom pański stoi na fundamencie twoich kości, żołnierzu; każdy zagon opity twoim potem, a ty, chłopie, żebyś urobił kulasy, żebyś wygrał sto bitew i wiernie oddał ojczyźnie ostatnią kroplę krwi, — zawsześ niewolny; ni tobie ziemi, ni nieba, ni dachu ni nawet psiej budy, kajbyś nieszczęsną głowinę przytulił! Ostatniś, żołnierzu, przed Bogiem i ludźmi, ostatni!”

Któż miał przeto walczyć i za co? Któż miał walczyć i zwyciężać, jeżeli dobro i rozwój ojczyzny nie gwarantowały niczem dobra i rozwoju walczącego żołnierza?

* * *

Dziś, gdy coraz nowe ciosy godzą w pierś bezbronną narodu, gdy stroskana myśl polska szuka wokół sposobów i dróg podźwignięcia narodu z łoża niedoli, powieść Reymonta ukazała się bardzo na czasie.

W tonach mocnych i obrazach, tchnących prawdą wewnętrzną, daje ona szerokim masom czytającego ogółu polskiego niezbitą dowód, że przywilej stanowy i bogactwo jednostek rodzą egoizm i tchórzostwo, te zaś ostatnie — zdradę,

STEFAN AUERBACH.

Przez Postęp i Oświatę do Szczęścia,

(Dokończenie).

Gdyby pochód cywilizacji był stały i równomierny, ludzkość byłaby daleko szczęśliwsza.

Tymczasem pochód cywilizacji nie jest nie tylko stały i równomierny, lecz na drodze tego pochodu zdarzają się często, dość znaczne, dość ważne i dość trwałe regresje. Owóż tu właśnie rodzą się wszelkie sceptycyzmy i rozczarowania; tu zaczyna się owe długie pasmo błędów, przesądów, iluzji, które często wyrastają na pniu samego postępu, lecz wykrzywionego, zniekształconego, wytrąconego z łożyska swego naturalnego pochodu. W ten sposób należy sobie wytłumaczyć wzrost kryminalistyki, alkoholizm, ignorancję, przesady płciowe, rasowe, klasowe, majątkowe, zmorę pokoju zbrojnego etc., etc.; wszystko to razem wzięte jest jakby martwym ciężarem, wiszącym u nóg cywilizacji i przeszkadzającym jej posuwać się na-

przód, do słońca, do celu, którym jest jedynie i wyłącznie: szczęście.

Aby przesady te zwalczyć, aby odebrać im rację bytu, zbudował Finot swą filozofję, swą naukę o szczęściu (*Science du Bonheur*). Nauka, zawarta w filozofji optymistycznej, jedynie zdolna jest — zdaniem Finota — rozwiązać „złudzenia życiowe”, położone, niby tama, w poprzek emancypacji myśli, więc tem samem i ucywilizowania człowieka. To też jeden z krytyków Finota słusznie w ten sposób zdefiniował jego filozofję: „*Jean Finot est l'apôtre de la science et de la raison contre toutes les illusions nées d'un progrès mal compris*”.

Finot wylicza długi szereg iluzji, które owiwały człowieka siecią melancholji, łez i nieszczęścia. Jedną z tych najbardziej niebezpiecznych, najbardziej fatalnych iluzji jest smutek (*la tristesse*). Zarówno otoczenie, jak i szkoła, jak i ognisko rodzinne, teatr, literatura, zwyczaje, ulica, słowem wszystko i wszyscy złożyli się na to, aby człowieka onieśmielić, aby przedstawić mu życie, jako zgnieciony, bezbarwny i bezwonny kwiat, aby w najczarniejszych barwach malować przed nim

lub oportunizm; że wszelka krzywda, wszelkie pasożytnictwo społeczne, oparte na wyzysku i ciemnocie mas, mszczą się strasznie, wcześniej lub później, na całym społeczeństwie i są tamą najgroźniejszą na drodze naszej; że, wreszcie, nie wysiłki ofiarne garści szlachetniejszych jednostek prowadzą do celu, a zbiorowy trud świątłych, równych pod względem praw i owianych duchem obywatelskim milionów.

* * *

W prasie polskiej o powieści ostatniej Reymonta dziwnie mało się pisze. I to jest dla społeczeństwa naszego objawem niezmiernie charakterystycznym.

Świadczy milczenie to, że i dziś, po latach 120, na powierzchni życia polskiego panują typy analogiczne; że i dziś przywilej oraz majątek są dla sfer górnych najdroższe, że elementy oportunistu nie zostały usunięte precz, że nadal żerują i szkodzą.

Powieść „Rok 1794“ jest dla nich policzkiem — przypomnieniem, więc starają się zbyć ją milczeniem. Sądzą, że im się to uda.

Slepi epigoni szlachetczyzny!

Wi—ski.

Szkice warszawskie.

Warszawa, 8 czerwca.

Gdyby chciał ktoś zwięźle scharakteryzować życie społeczno polityczne w Królestwie, nie mógłby użyć bardziej stosownego terminu — jak chaos. Stare formy kruszą się i wyginają, nowe — zaledwie zarysowują swe kształty. Odbywa się ogólny proces fermentacji, który wydobywa na powierzchnię z dna nowe pierwiastki, grupujące się na zgola oddmiennych podstawach pokrewieństwa.

to, co powinno być pachnące i słoneczne, aby zakazić mu serce melancholą i rozpaczą, brakiem wiary i nadziei w lepszą przyszłość i w szczęście ludzkie; odebrano mu wszelkie ideały, a w miejscu duszy, gdzie one tkwiły, pozostała — próżnia, którą błyskawicznie prędko wypełnia — desperacja. Duża odpowiedzialność spada za to na nasze systemy oświatowe. „*Toute notre éducation moderne —* powiada, m. in., *Finot — est pourrie par le désir de paraître et non celui d'être*“. I „apostół szczęścia“ rewoltuje się przeciwko takim metodom szkolnym — „zgniliźnie oświatowej“, jak się wyraża.

Stworzył więc własny system oświatowy: osiągnięcie szczęścia przez oświatę. Wyłożył ów system w całym szeregu dzieł naukowych; zsyntetyzował zaś w lapidarnych, jędrnych maksymach w ostatniej swej pracy „*Progrès et Bonheur*“, przepelnionej faktami, cytatami, cyframi tudzież obserwacjami i doświadczeniami. Jest to pierwszorzędné dzieło naukowe, nie zawierające w sobie ani krzty mistycyzmu. Finota nazywają, co prawda, „apostolem“, ale apostołstwo jego, to misja krzewienia szczęścia przez niszczenie przesądów; przytacza on przykłady i fakty naukowe matematycznie ści-

Dawny podział kierunków społeczno - politycznych na dwa obozy: zachowawczy i postępowy zaczyna ustępować miejsca nowemu zróżniczkowaniu na tle biegunowo przeciwnych zapatrywań na polską rację stanu. Program pracy organicznej z jednej strony liczy śród swych wyznawców tak sprzeczne żywioły jak endeków i postępowców, gdy neo - romantyzm znów skupia pod swym sztandarem P. P. S. i fronde.

Oczywiście, ani po jednej ani po drugiej stronie niema jedności. Zadawnione uprzedzenia, ambicje przywódców, różnice taktyczne, wreszcie rywalizacja o hegiemonję dzielą idejowych sojuszników i uzbierają ich nieraz do zaciętej walki ze sobą, lecz linja, rozgraniczająca dwa zasadnicze światopoglądy nie zaciera się przez to bynajmniej i staje się mimo wszystko coraz bardziej widoczną.

Można to obserwować na stosunku rozmaitych grup względem ruchu zaraniarskiego.

Niedawno właśnie odbył się w Warszawie zjazd kółek rolniczych im. Staszica, pozostających jak wiadomo pod kierunkiem „Zarania“. Zjazd był dość liczny, gdyż stawiło się nań około 150 delegatów z całego kraju, niemniej przebieg jego wykazał, że w ruchu zaraniarskim następuje kryzys. Brakowało tego nastroju optymistycznego, tego zapału, jaki się dawał odczuć na zjazdach poprzednich. Rozlegały się ustawicznie narzekania na apatię, na zanik energii w działalności kółek. Hasło „sami sobie“ straciło swą moc ożywiająca.

Doniedawna ruch zaraniarski otoczony był sympatją tych wszystkich, którzy w podniesieniu mas włościańskich, w uobywatelnieniu ludu upatrują przyszłość narodu. Powoli jednak sympatje te poczęły wygasać, gdy spostrzeżono, że chłop, emancypując się, jednocześnie poczyną nabierać cech niepożądanych wyłączności stanowej, że się odgrądza od reszty społeczeństwa, spogląda z nieufnością na inteligentia i wytwarza swoiste ideały, dalekie od tradycji ogólnonarodowych.

Walka z nadużyciami kleru i egoizmem klasowym ziemiaństwa przeradzać się poczęła w niechęć ogólną względem działalności na wsi warstw oświe-

słe; nie każe wierzyć, ale rozumować i sprawdzać; nawołuje do odrzucenia jego nauki, jeśli choć w czemkolwiek odbiega od logicznej, naukowej argumentacji, opartej jedynie na danych wiedzy i doświadczenia. Finot stara się dowieść, że sceptyk jest człowiekiem nienaturalnym, chorym, gwałcącym instykt przeznaczenia. Aspiracje naszych instyktów dążą do jedyne go ostatecznego celu: szczęścia; „*Depuis que l'homme rit ou pleure —* słusznie mówi autor — *il est pénétré du même désir. Devant lui, comme but final, reste suspendu le sentiment du Bonheur, couronnement suprême de tous les efforts de sa vie. Sublime dans son désintéressement ou répugnant dans son égoïsme, l'homme ne cesse d'envisager le problème du Bonheur comme le sujet essentiel de ses rêves et de ses pensées*“.

Szczęście jest więc ostatecznym uwieńczeniem wszystkich wysiłków człowieka, głównym przedmiotem jego myśli i marzeń. Jaka jest najbardziej dominująca aspiracja człowieka, najbardziej instyktowna? Osiągnięcie maksimum szczęścia — odpowie wam Finot, a ciekaw jestem, czy mu kto zaprzeczy... Kto więc przeciwko tym naturalnym aspiracjom w ten lub inny sposób występuje,

conych, - To musiało, rzecz prosta, odsunąć od ruchu zaraniarskiego liczne jednostki demokratyczne, pracujące wśród ludu w imię ideałów wyższego rzędu, upatrujące w podniesieniu dobrobytu włościańskiego środek, nie cel.

Jednocześnie młodzież włościańska, jak każda młodzież, nie chciała poprzestać na pracy ekonomicznej, i mając aspiracje szersze, zaczęła ciężać ku innym organizacjom, głoszącym hasła bardziej pojętne.

To wszystko musiało się odbić ujemnie na ruchu zaraniarskim, odbierając mu charakter ideowy. Stając zaś wyłącznie na gruncie pracy organicznej, kółka im. Staszica oczywiście nie mogą wytrzymać konkurencji z kółkami Centralnego T-wa Rolniczego, rozporządzającego daleko większymi środkami materialnymi i całą armją fachowych instruktorów,

Zasklepienie się jednak w ramach pracy organicznej zmieniło znacznie stosunek grup konserwatywnych względem zaraniarzy. Zwalczają one wprawdzie i dziś ruch zaraniarski, głównie ze względu na jego kierunek antyklerykalny, lecz nie tak już namiętnie, jak przedtem. Sprawozdania w „Gazecie Warszawskiej” i „Dwugroszówce” odznaczają się o wiele większym obiektywizmem i spokojem, niż np. artykuły tychże pism, omawiające działalność Komisji Tymczasowej. Zwrot to wysoce znamienny, stwierdzający pewną konsolidację obozu organiczników.

Natomiast „Gromada”, pismo, przeznaczone dla ludu, prowadzone w duchu patryjarchalno-sentymentalnym, wystąpiło z artykułem, zohydżającym ruch zaraniarski, uciekając się do niewybrednych metod publicystycznych, stosowanych przez organy endeckie.

Mimo cały swój antysemityzm i ton, tak zwany narodowy — „Gromada” nie potrafiła zaskarbić łask duchowieństwa i naraziła się na wyklęcie ze strony biskupa kieleckiego, ks. Łozińskiego, który uznał ją za dzieło masonów...

Risum teneatis, amici!

Niewątpliwie, nie brak wśród duchowieństwa jednostek, ożywionych najlepszymi chęciami; ogół jednak odznacza się krańcową ciemnotą i nietolerancją,

a nierzadko można spotkać i takie osobniki, jak pewien proboszcz w ks. Łowickiem, który głosi, że chłopu potrzebna tylko plebanja i karczma...

W tych warunkach odczuwać się daje gwałtowna potrzeba pisma ludowego, będącego syntezą „Zarania” i „Gromady”, z których każde ma swoje dobre strony.

Sprawa włościańska, walki o wpływ na wsi, nader aktualne w ostatnich latach, odsunęły na drugi plan kwestję robotniczą, dominującą przed rokiem 1905-tym. Prasa poświęca jej bardzo mało uwagi. Upadek dawnych organizacji wśród proletariatu i słaba działalność obecnie funkcjonujących wpływają niewątpliwie na ten brak zainteresowania. Wskutek tego również ogół nie posiada źródłowych informacji o życiu robotniczym, o nastrojach mas, o stanie ich uświadomienia obywatelskiego. Od czasu do czasu dochodzą wieści nader nie wesołe.

Oto, w warsztatach kolei Warszawsko-Wiedeńskiej robotnicy w zatargach z inżynierami podobno grożą skargami do władz naczelnych, wiedząc, iż te zawsze chętnie je wysłuchają, by mieć powód do usunięcia z posady polaka i zastąpienia go przez rosjanina. Gdy zaś robotnikom zwracano uwagę na nielojalność ich postępowania, odpowiedzieli, że dla nich jest obojętną narodowość „wyzyskiwaczy”.

Są to owoce klasowego uświadomienia, szerzonego gorliwie przez socjalną demokrację z pod znaku posła Jagiely. O przeciwdziałaniu tej demoralizującej robocie wiemy bardzo mało. Inteligencja polska, zaprzątnięta walką ze sklepikarstwem żydowskim i przejęta idée fixe wytworzenia na poczekaniu licznej rzeszy komiwojażerów chrześcijańskich, zobojętniała do reszty względem mas robotniczych, pozostawiając je wpływom agitatorów, czerpiących natchnienie i wskazówki z obcego źródła. I tu, jak na tylu innych polach społecznych, dotkliwą lukę stanowi nieobecność młodzieży akademickiej, wytwarzającej dokoła siebie atmosferę ideową.

Powrotu jej pragnąć należy gorąco, chociażby ze względu na młodzież ze szkół polskich, która, niestety, nie stoi na tej wysokości, jak należało oczekiwać. Utyskiwania na personel pedagogiczny, zwłaszcza

ten jest nienaturalny, chory, obciążony defektem umysłowym, z którego należy go wyleczyć.

I Finot roli tej się podejmuj! Posłuchajcie, jak przemawia on do człowieka:

— Przyszedłeś na świat nieszczęśliwym, aby stać się szczęśliwym. Ty to czujesz, ty to wiesz, tego chcesz. Lecz masz przed sobą strasznie trudne zadanie; spełnić je — jest przeznaczeniem twego życia. Zasmuca cię to, zniechęca, a w dodatku udzieliłeś posłuchu melanholji, głoszonej przez filozofów smutku i beznadziejności. Przedewszystkiem więc poznaj siebie samego. Nauka pozwoli ci tego dokonać. Pozól, bym ci wytłumaczył sens twego życia, a gdy mnie zrozumiesz, sam staniesz się twórcą swego szczęścia. Albowiem jest ono w tobie, musisz je odkryć, odszukać w fałdach swego sumienia i w głębinach swej duszy. Pomóż ci w tem dobra wola, inteligentna i nieuprzedzona. Gdy mnie uważnie wysłuchasz, nauczę cię żyć dłużej nad 150 lat, nie pogardzać ludźmi, braćmi twymi, którzy mają inny kształt czaszki lub inny kolor włosów; nauczę cię szanować kobietę, twą towarzyszkę życia, która nie jest twą niewolnicą, jeno tobie równą. Nauczę cię wyrzec

się bogactw, zaszczytów, sławy, wszystkich tych fałszywych dóbr, które cię niepokoją i mącą ci spokój. Uczynię z ciebie byt harmonijny i silny, uczynię cię takim człowiekiem, o jakim marzyli mędrzy greccy, ale bardziej wdzięcznym, a mniej dumnym. Będiesz uśmiechającym się stoikiem, którego pokój duszy nie kosztuje nic. Posiędziesz nietylko radość życia, ale naturalność i łatwość życia“...

Posłuchajmy jeszcze:

...„Nie mamy racji nie wierzyć w postęp indywidualny i kolektywny. I jeden i drugi mają swe głębokie korzenie w społeczeństwie, korzenie które kiedyś wyrosną po nad ziemię, zamienią się w pączki, które w kwiaty szczęścia się obrócą.

Już na przestrzeni jednego wieku, świat się radykalnie zmienia. Staje się dla nas bardziej serdecznym, czułym. Jego siły mistyczne oddają się w niewolę człowiekowi, który zaczyna je lepiej poznawać i lepiej zużytkowywać. Nieskończoność, ujęta w pewne ścisłe prawa, zdaje się być bardziej dla nas łaskawą. A w każdym razie mniej groźną. Z każdym dniem więcej obejmujemy władztwo nad ziemią, a nawet atmosferą. Licząc

cza na kierowników zakładów naukowych, dają się słyszeć coraz częściej. Stosunek ich do szkoły jest zbyt bierny i formalny. Uczniowie są pozbawieni bezpośredniego kontaktu i spójności ze swymi nauczycielami a nie widząc przykładu w młodzieży akademickiej, skąd mogliby czerpać zachętę i wzór do naśladowania, wpadają w apatię i przedwczesną rezygnację.

„Zalą się starsi koledzy, — stwierdza ze smutkiem „Ruń” — że ich następcy już im placu nie dostrzegają, że pozostają za nimi w tyle, że są pozbawieni wspólnych marzeń, które łączą w jedną kryształową bryłę”.

„Jakiś rozdźwięk i brak głębszej harmonji, jakaś monotonia i szarzyzna, postokroć daleka od „chmurnej, i górnej” młodości.

A jednocześnie nad chłodną Newą rozlega się energiczny, entuzjastyczny „Głos młodych”, który przez olbrzymią przestrzeń, dzielącą go od kraju, dochodzi tu zaledwie słabym echem.

Iluż z tych, co głoszą dziś płomienne manifesty na obczyźnie, potrafi użytkować zapał do czynu na gruncie rodzimym, który z oddalenia w innym świetle się przedstawia?

Obyż jaknajwięcej!

L. A.

Z pod Wawelu.

Kraków, w maju 1914.

Kraków, mimo że ludność jego wzrosła, po przyłączeniu gmin podmiejskich, do liczby 200.000, wciąż jeszcze posiada charakter dużego prowincjonalnego miasta. Sprawy lokalne interesują ogół mieszczaństwa o wiele więcej, niż sprawy ogólnej natury: wybory do Rady miejskiej stają się w świadomości ogółu mieszkańców wypadkiem doniosłej wagi.

Rządy miasta znajdowały się wciąż w rękach kilkunastu lat ostatnich w rękach rozmaitych stronnictw.

na długi pobyt na ziemi, powinniśmy uczynić ów pobyt rozumny i sprawiedliwym. Brutalne zdobywcze wzbudzają w nas coraz więcej niesmaku, pogardy i nienawiści. Oczyszczone sumienie człowieka sprzeciwia się gwałtom, dokonywanym na organizmach słabszych braci. Ludzkość rządzona jest prawami coraz stałszymi, a coraz mniej kaprysami siły. Z dnia na dzień z większym szacunkiem traktujemy się wzajemnie. Nasza godność podnosi się stopniowo, jak również uczucia sprawiedliwości i prawdy. Jest dziś więcej sympatii i radości na naszej planecie, niż przed wiekiem naprzykład. Ból nasz zdaje się być złagodzony. Bliskim jest dzień, w którym ludzkość przyciągnie do swego łona, pobudzona jednakową potrzebą miłości, dzieci wszelkich cer i wszelkich wiar. W oczekiwaniu tej chwili, konstatujemy, że połowa ludności, kobiety, korzysta z każdym dniem więcej ze sprawiedliwych praw. Kobieta była niegdyś niewolnicą mężczyzny, później stworzeniem od niego niższym, a dziś jest mu we wszystkim równa. — I państwo lepiej wypełnia swe obowiązki. Pogodziło się z zasadą równości wszystkich obywateli i staje się coraz mniej głuchym

Dzierżyli władzę przez długi czas demokraci, pod kierunkiem zacnego, lecz nieobdarzonego wielkimi zdolnościami i darem inicjatywy Friedleina, później wydarli im ster z ręki konserwatysty, obdarzając dr. Lea godnością prezydenta miasta.

Rządy pozostały aż do dnia dzisiejszego w ręku Lea, który podczas pełnienia urzędu zdołał przedzierzgnąć się z konserwatysty w demokratę. Leo zrozumiał tendencje rozwoju Galicji, który zmierza do tego, aby w tym kraju, niegdyś wyłącznie rolniczym, powstawały i rosły ośrodki życia przemysłowego i, co więcej, zorientował się, że Interesy posiadaczy miejskich są niezgodne z dążnościami galicyjskiej „konserwy”. Stańcyzy galicyjscy dążyli i dążą zawsze do supremacji wsi nad miastem i do identyfikowania interesów większej posiadłości ziemskiej z dobrem całej Polski. Mieszczanin ma sprzeczne interesy, i to nie tylko dlatego, że zależy mu na tańszych cenach zboża, i wogóle na przewadze przemysłu i handlu nad rolnictwem. Pragnie on władzy politycznej, chce dzisiaj o 100 lat później od sąsiadów z Europy zachodniej, odegrać rolę, która tam trzeciemu stanowi drogą rewolucyjnej walki przypadła, a której nigdy polskie mieszczaństwo wypełnić nie umiało. Poczynania tego mieszczaństwa są słabe i niedołężne, ale już to jedno zasługuje na uznanie, iż zrozumiało ono wreszcie, że dalej nie może iść w ogonie konserwatystów-ziemian, przyczyniających się do zupełnego zastoj życia gospodarczego Galicji.

Dzięki tym przyczynom, rządy Krakowa przejść musiały kilka lat temu w ręce demokratów, pod batutą tegoż Lea, który zdołał swych najbliższych przyjaciół politycznych przekonać o potrzebie takiej metamorfozy. Odtąd demokracja niepodzielnie panuje w ratuszu. Przy wszystkich wyborach utrzymuje się ona u władzy niemal bez walki.

Dziś jednak, z okazji majowych wyborów do Rady miejskiej, zabrzmiały wrzaskliwie fanfary. „Opozycja” krakowska składała się tym razem z żywiołów, które nigdy w Krakowie nie grały wybitnej roli. Narodowi demokraci, sprzymierzyszy się z klerem, przypuścili szturm do ratusza, wywiesz-

na głos Temidy. Przyczynia się ono bądź co bądź do słusznego podziału ciężarów i obowiązków. Światło myśli i wiedzy przenika do chat najemników i wydziedziczonych. Napełnia ich wnętrza słoneczną nadzieją lepszego jutra. Wiara w zbawienie na ziemi zaczyna zyskiwać prawo obywatelstwa w naszych sercach. Wiara ta opiera się głównie na Solidarności społecznej i jej towarzysze Dobroci, które skrzydłami swymi obejmują wciąż nowe zakątki naszego globu. Przeczucia te radują życie gromady ludzkiej, tak samo, jak nadzieja w powodzenie i szczęście ożywia wszystkie tej gromady osobniki.

„Udoskonalenie człowieka — powiada Spinoza — rośnie w równym stosunku z udoskonaleniem przedmiotów, które człowiek ponad wszystko miłuje”. „Ludzkość, odrodzona tym ideałem — dodaje Finot — otwarcie przyznawany i heroicznie ścigany, znajdzie się w końcu na drodze do owej doskonałości, która się kończy etapem: — Szczęścia!”

* * *

jąc sztandar antysemityzmu, ukrytego pod eufemiczną nazwą „spolszczenie miasta“. Narodowa demokracja zdyskredytowała się metodami politycznymi, przy których tworzeniu pałka grała niepoślednią rolę; obawiała się też wystąpić pod własną firmą partyjną, wiedząc z góry, że publiczność krakowska nie pragnie przeszczepiania na swój grunt taktyki lwowskiej, „*bellum omnium contra omnes*“. Wystąpiła więc pod bezpartyjną maską i — kampanję przegrała.

Na zwycięstwo dotychczasowej większości złożyło się wiele przyczyn, a w pierwszym rządzie ta, że konserwatyści krakowscy (stańczycy) zdecydowali się w ostatniej chwili zawrzeć blok wyborczy z demokratami, sprawującymi rządy w mieście. Od chwili ogłoszenia tej wiadomości, walka dla opozycji stała się beznadziejną i przegraną zakończyć się musiała. Wprawdzie narodowi demokraci, ze swymi klerikalnymi sojusznikami zyskali dość pokaźną liczbę głosów (przeciętnie po 1500 głosów na 2500 demokratycznej większości), a to wskutek błędów demokratów, którzy zanadto lekceważyli opinię publiczną, łącząc się z partją żydów kahalnych, nie szanując starożytnych pamiątek miasta, oraz mając się niedozwolonych praktyk wyborczych z legitymacjami; opozycja jednak nie zdołała ani w jednej kurji wprowadzić do Rady miejskiej swych zwolenników.

Gospodarka Narodowej Demokracji — powiedziec to należy bez ogródki — nie byłaby sanacją praktyk wyborczych, bo w sztuce „urządzenia“ wyborów nikt dotąd tej partji nie prześcignął; ani obroną polskości, ni chrześcijaństwa, gdyż endecja nieraz już łączyła się z sjonistami na lwowskim gruncie, i nie czyniła sobie skrupułów nawet co do sojuszków z „moskalofilami“; ani podniesieniem miasta, do którego demokraci, bądź co bądź, skutecznie się przyczyniali. Rządy endecji oznaczałyby natomiast pogrom wszystkich niezależnych i postępowych placówek kulturalnych w mieście, które ochrzczonoby ryczałtem mianem „żydowskich“ i „masońskich“. Bo dusza endecka wszędzie ukrytego „farmazona“ wywęszyć umie.

Wybory skończyły się, a nie brakło przy nich wesołych epizodów. Demonstrowali ci, których usunięto

„Postęp i szczęście“ jest rewizją metod oświatowych, jest rewizją zasad moralnych, jest nauką, dążącą do odrodzenia ludzkości, jest traktatem, zawierającym bibliotekę erudycji tudzież szereg najpiękniejszych dążeń, jakie powinny przyświecać człowiekowi: żądza uszlachetnienia, ulepszenia, uszczęśliwienia ludzkości.

Dzieła Finota niewątpliwie zawierają wiele rzeczy spornych, wiele rozdziałów, na które trudno się pisać, nawet wiele punktów słabych; wszelako całość — abstrahując, nieliczne zresztą, stronicie słabo argumentowane — zasługuje na uznanie.

Przyswojenie językowi polskiemu pracy: „*Progrès et Bonheur*“ byłoby wielce pożądane. Krytyk „*Temps'a*“, mówiąc o doktrynie Finota, wyraża się: „*nous en avons grand besoin*“. Cóż w takim razie my mamy powiedzieć?

od urny, — robotnicy krakowscy, obnosząc po mieście w olbrzymim pochodzie emblematy wyborcze (kielbasa, wódka, urna cudowna bez dna z wymalowanymi na niej nieboszczykami, śpieszącymi do urny), oraz podobizny Lea i jego przyjaciół politycznych, z aktualnymi i dowcipnymi napisami. Krzywdzące prawo wyborcze niedługo już egzystować będzie i — jak się zdaje, wybory majowe były ostatnimi, odbywającym się w warunkach jawności, oraz głosowania za cudzemi legitymacjami. Dzięki Podgórzcu, które zgodziło się na przyłączenie do Krakowa tylko pod warunkiem zdemokratyzowania wciągu roku ustawy wyborczej, wkrótce już otrzymamy reformę, dopuszczającą, choć w skromnej ilości, klasy nieposiadające do udziału w rządach miasta.

Druga sprawa, która w dniach ostatnich poruszyła umysły, to zatarg Uniwersytetu Jagiellońskiego z Radą szkolną. Memorjał uniwersytecki w ostrych słowach poddaje krytyce naukę, udzielaną młodzieży w szkołach średnich, i dowodzi, na podstawie obserwacji profesorów, że młodzież, która po otrzymaniu matury udaje się na uniwersytet, jest w bardzo wielu wypadkach do pracy samodzielnej zupełnie nieprzygotowana. Co więcej, młodzież ta nie umie mówić, ani pisać po polsku. Uniwersytet wzywa więc do reformy nauki szkolnej i radby zarządzić ankietę.

W wywodach memorjału jest niewątpliwie prawdy wiele. Galicyjska Rada Szkolna krajowa ma ciężkie grzechy na sumieniu, tamując rozwój wolnej od szablonów nauki szkolnej i prześladowając profesorów, którzy nie chcą w klasie pełnić jedynie roli gramofonów. Hańbą kultury jest niewątpliwie okólnik Rady Szkolnej do nauczycieli historii, zakazujący im kategorycznie wykraczanie po za ramy podręcznika. A więc *antiquo modo* metoda oznaczania pazurkiem „stańdotąd“ jest ideałem galicyjskich patronów szkolnictwa. A jakież to podręcznikil! Czytając je, trudno nieraz uwierzyć, że żyjemy w XX wieku.

Ale i uniwersytet, występujący w roli surowego krytyka, mógłby się w piersi uderzyć. Ostatnie artykuły w „Krytyce“, pióra docentów tegoż uniwersytetu, rzucają smutne światło na stosunki tam panujące. Nie zdolności, lecz protekcja decyduje o przynależności do grona profesorów, a względy przekonaniowe i wyznaniowe stanowią nieprzepartą tamę do przedostania się w szeregi pracowników uniwersyteckich. To też trudno wierzyć, aby naprawdę uniwersytet Jagielloński, składający się ze stańczyków oraz kilku warcholów narodowo-demokratycznych, przeplatających swe zajęcia docentów uprawianiem krzykliwej polityki, mógł dokonać sanacji stosunków. Widać to zresztą z *resumé* memorjału, w którym za największe zło poczytuje się... demokratyzację szkół średnich. Profesorów-stańczyków boli fakt, że w gimnazjach jest za dużo chłopskich synów; pragnęliby odgrodzić od stykania się z nimi szlachetnie urodzonych. Widać to już zresztą w stworzonym od lat paru systemie utrudniania gimnazjalnej matury. I zdaje się, że mają rację ci złośliwi, którzy dowodzą, że pojawienie się memorjału nie świadczy wcale o istnieniu zatargu pomiędzy profesorami uniwersytetu a Radą Szkolną, która jest emanacją tegoż stańczykowskiego ducha, ani też nie stanowi *votum* nieufności dla głośnego d-ra Dembowskiego, lecz jest zęcnie ukartowaną komedią w celu przeprowadzenia reformy w duchu reakcyjnym.

Jeśli taki zamiar istnieje, to napotka na trudności w przeprowadzeniu. Bo Galicja przestała już

być organizmem, pozwalającym na wszelkie eksperymenty, dokonywane *in anima vili*. Zmieniło się w niej dużo. Już sam fakt, że klerykali, którzy do niedawna byli panami Galicji, dziś idą do szturm na Kraków, stolicę Puzyny, łącznie z opozycją miejską, świadczy, że władza im z rąk wypadła.

Na wsi sytuacja przedstawia się dla nich lepiej. Ale i tam widać objawy zbliżającej się wojny, która wisi w powietrzu, lecz gdy raz wybuchnie, pomyślnie dla menderów klerykalizmu zakończyć się nie może. Zasuspendowanie ks. Kaczmarczyka przez biskupa Wałęgę, atak księży na czele chłopów na Stapińskiego w Tuchowie — to podmuchy burzy, zwrócić się mogącej przeciw tym, którzy ją lekko-myślnie wywołują.

J. Krzesławski.

Z wędrówek po Londynie,

IV.

Hyde Park.

Wśród tętniących intesywnym życiem ulic, tuż prawie przy *Piccadilly* i *Oxford Street*, położone są te „Błonia Londyńskie“, *Hyde Parkiem* zwane. Od Krakowskich Błoni różnią się tak, jak wogóle Polska różnić się może od Anglii.

Są w Hyde Parku miejsca, które z ogrodami Wersalu rywalizować mogą; są też i takie, które w holendrach, mistrzach ogrodnictwa, wzbudzają podziw.

Mnie one niewiele obchodzą. Idę zawsze na te porosłe trawą—kobiercem łęgi obszerne, wolne i przestrzenne, na których wypoczywa biedny, pracujący Londyn.

Ludność całej Irlandji można swobodnie umieścić w *Hyde Parku*. Ten fakt dać może pojęcie o rozmiarach ogrodów.

W świąteczne niedziele przed południem odbywa się w alejach parku *rendez-vous* zamożniejszych ludzi. W poranki dnia powszedniego zwolennicy sportu konnego z próżniactwa hasają do południa po parku.

Popołudnie należy do ludzi pracy. Szczególniej niedzielne i sobotnie popołudnie.

Wówczas to *Hyde Park* zamienia się w szkołę na wolnym powietrzu, w szkołę społeczno-religijną dla dorosłych.

Na obszernych łąkach parku kilkunastu albo i kilkudziesięciu mówców poucza „przechodniów“ o najnowszych zagadnieniach społecznych i politycznych.

Więc popularne wykłady o konieczności *Home Rule'u* dla Irlandji i także wykłady o szkodliwości zaprowadzania *Home Rule'u* o kilka stajni dalej. Więc projekt Lloyda George'a w kwestji rolnej, więc oddzielenie kościoła od państwa w Walji..

Więc zalety nadania praw wyborczych kobietom i straszne skutki, płynące z nadania tych praw...

I nie są to czcze komunały, a solidnie opracowane referaty. Mówcy po za popularną formą wykładu zawsze gotowi są do odparcia wszystkich możliwych zarzutów, do zadowolenia każdego malkontenta lub malkotentki w danej kwestji.

Najpopularniejszą formą wykładu jest djalog referenta ze słuchaczami, z tłumem. Wszelką wąt-

pliwość wyjaśnić, dać jasne i wyraźne stanowisko człowiekowi, który, zaharowany pracą całodzienną, nie może zastanawiać się nad zawiłym problematem — oto zadanie tych publicznych referatów i referentów.

Kiedy patrzę na rozpróżniane tłumy burżuazji w niedzielne przedpołudnie, wzbiera we mnie pogarda niowysłowiona dla tych sytych, religijnych i dobrze przyodzianych *ladies and gentlemen*.

Dla nich nie istnieją żadne zagadnienia społeczne i polityczne. Dawno już rozstrzygnięto je w kantorach i *offices* bez ich udziału, bez ich pracy.

Natomiast kiedy w obdartusie-głodomorze znajduję czasem wytrawnego opozycjonistę na popołudniowych kontrowersjach, wiem, że tacy właśnie stanowią o powodzeniu lub upadku danej reformy w Anglii.

Błonia *Hyde Parku* są *sui generis* starogrecką *agora*.

U wejścia na te błonia, o kilka kroków od *Marble Arch*, ustawiają się liczni mówcy religijni. Tu najtajniejsze porywy duszy ludzkiej w pogoni za spokojem i umiłowaniem, za bóstem czy nirwaną w natchnionych mowach obserwujesz.

Obok wolnomysliciela staje fanatyk katolicyzmu, tam dalej baptysta, tuż buddysta peroruje, odbierając słuchaczy wolnemu kościołowi.

Mahometanin—hindus przekomarza się najczystsza angielszczyzną z kosookim wyznawcą Konfucjusza...

Zapomina człowiek wśród tego uniwersytetu o wypoczynku. Chciwie słucha nowych, niewiadomych prawd. Żyje z milionami ludzi, po całej kuli ziemskiej rozszianymi.

Poznaje, co znaczy *ludzkość*.

Myślą ogarniam braci w dalekiej ziemi ojczystej, zapadłej, konserwatywnej, barbarzyńskiej krainie, gdzie ksiądz to najwyższy głosiciel prawd boskich, choć inteligencją nie dorósł często umysłu dzieciaka londyńskiego; gdzie słowo *tolerancja* długo jeszcze będzie pustym „masońskim“ dźwiękiem; gdzie z religji czyni się spekulację, a nie wolny świadomy, moralny wybór drogi, wiodącej do Boga, jednego, jak jednym jest człowiek, choć tak przeróżnaity w swych typach i gatunkach.

Gdy, zmęczony, spocznię w ustroniu na miękkim dywanie trawy, dochodzi mnie przytłumiony odgłos ulicznego ruchu, jak szum morza ludzkiego, uderzający miarowo w okręt myśli.

Cogito, ergo sum starego Descartes'a tu dopiero w całej rozciągłości i potędze konstatujemy.

V.

Rozmowa z Hyndmanem.

1-go maja, 1914 r.

Zdawna wybierałem się do tego Nestora socjalizmu. Jak ostatni z mohikanów, trwa Hyndman na stanowisku, niezrażony, spokojny, zrównoważony. Mądry patriarcha, wyrozumiały ojciec na błędy swych zwolenników, on jedyny dziś w Europie marksista, który widzi braki i wady „uniwersalnej“ doktryny materializmu historycznego. Jedyny marksista, który nie zawahał się wyrazić sympatji powstającej młocji ludowej w Ulster, jedyny marksista, co nawołuje rząd angielski do poważnych wydatków na flotę, jedyny marksista, który w imieniu „British Socialist Party“ zgłosił na międzynarodowy kongres we Wie-

dniu rezolucję o potrzebie niezależnego bytu dla wszystkich ucisnionych i podbitych narodowości, na długo przed „zaprowadzeniem ustroju socjalistycznego“.

Wybraliśmy się do Hyndmana z redaktorką „The Justice“, Miss F. Baldwin.

— Wiecie, w przyszłym tygodniu ślub Hyndmana — mówi mi po drodze Miss Baldwin.

— Jakto, ten starzec żeni się?

— No, nie jest on znowu takim starcem, zresztą zobaczcie, wygląda na człowieka w sile wieku.

W skromnym mieszkaniu, nieopodal *St. James Parku*, pracuje po całych dniach Hyndman, mając godziny ściśle rozłożone. Nie wolno o minutę nawet przyjść doń za wcześnie. Punkt 3-ia po południu wchodzimy do pokoju, na pierwszym piętrze. Właśnie Hyndman układa papiery na biurku.

— A, jak się macie?—wola, serdecznie nas witając. Mężczyzna o szpakowatej, długiej brodzie, siwawej czuprynie. Twarz mędrca. B. Limanowski, o kilka lat starszy zaledwie, śmiało by mógł uchodzić za ojca Hyndmana.

— Siadajcie, proszę, zaraz podadzą herbatę.

Rozpaczynam uroczystą rozmowę, jako że my, polacy, znamy go, szcycimy się jego przyjaźnią, jego poglądy są dla nas otuchą w walce z zaborczością — nawet Niemieckiej Socjalnej Demokracji.

— *Well*, cóż moi drodzy, trudno, w waszem położeniu jeno walka. Pojmuję bardzo dobrze obecną waszą akcję.

Sytuacja w Europie bardzo naprężona, bardzo niepewna. Właśnie pisał mi krewny z Galicji i jego przyjaciel... Aha, prawda, nie wiecie, że Hyndman na starość został kapitalistą, ma udziały w nafcie galicyjskiej. Ha, ha, ha! Tak, coprawda narzeczona moja protestuje, każe mi się wyrzec tych akcji. Zwykle przesady. Ale o czem-że to ja zacząłem. Otóż, wojna wisi na włosku. A będzie to straszna wojna. Nam, Anglikom, grozi w niej zupełne bankructwo finansowe. Dziwicie się? Tak jest. Mówi to wam człowiek, który napisał jedyną książkę o finansach angielskich w dobie obecnej. Krach, zupełny krach. I rząd nasz o tem wie doskonale. Stąd płyną te najdziksze sojusze. Wszak zapas złota dla pokrycia papierów naszych pomimo wszystko jest niedostateczny.

Znowu ogłoszą mnie za warjata, jak to było ze sprawą Ulsterską. A teraz pokazało się, kto miał rację, po ostatnich wypadkach.

— Pozwolę sobie zapytać was o stan sił socjalistycznych w Anglii, o wasz pogląd na zjednoczenie ruchu robotniczego w Anglii?

— Nie usłyszycie w tej sprawie prawdy od żadnego z leaderów ruchu. Ja mogę o tem mówić swobodnie. Stary Clemenceau niedawno w Paryżu rzekł mi: *Mon cher Hyndman, chez vous, on ne voit que la bourgeoisie. Votre parti socialiste, c'est la bourgeoisie ouvrière.* I miał i ma rację. Powiem więcej. Jest to ciemna burżuazja. Niemcy w razie krachu w polityce zewnętrznej mają u siebie rewolucję. To fakt. Otóż wydyscyplinowani i oświeceni robotnicy niemieccy z łatwością ujmą ster gospodarczego zarządu w wielkich miastach. U nas w razie rewolucji społecznej ciemnota, brak organizacji i wykształcenia zgubi wszystko.

Pytacie o zjednoczenie. Hm, widzicie są dwa kierunki w naszym ruchu: 1) kierunek bardzo łatwy — służenia ludziom; 2) kierunek bardzo trudny — służenia sprawie. Ten ostatni kierunek jest zniko-

my, ten pierwszy — przeważa. Nic dobrego dla obydwu tych kierunków z połączenia nie wyjdzie. Wspomnieliście o dyscyplinie i znaczeniu *Trade-Union'ów*. Młodzi jesteście. Czy wiecie, że nawet stary Krapotkin, ba i Liebknecht swego czasu popelnili ten sam błąd. Otóż, proszę, obliczcie. Te tłumy, zorganizowanych robotników w *Trade-union'ach*, mogłyby przeprowadzić najmniej 100 posłów do parlamentu. A ilu przeprowadzają? Nie mają politycznego wykształcenia, przeżarci są materializmem, kwestją podwyżki płacy. Dlatego oddają swe głosy na fabrykantów. To jedna strona medalu. A druga — ekonomicznej walki jest jeszcze ciekawsza. Czy wiecie, że podczas strejku górników banki kapitalistyczne, w których złożono 30 tysięcy funtów szterlingów funduszu robotniczego, po prostu odmówiły wypłaty tych pieniędzy? Pieniądze robotnicze w kasach kapitalistów!

Przez kilka dziesiątków lat pracuję w ruchu i dużo wiem, dużo spostrzeżeń poczyniłem. Jest źle w Anglii. Wy tam na kontynencie myślicie, że socjalizm w Anglii święci tryumfy. Żłuda!

Prawda, mamy wspaniałe reformy społeczne, ale znaczenia ich tłumy nie pojmują. Powiem wam szczerze, gdybym był młodszy, rzuciłbym Anglię i przeniósłbym się do Kanady.

Przekonacie się dziś jeszcze na majowej manifestacji ile to z 7 i pół miljonowego miasta stanie w Hyde-Parku.

Materializm historyczny, hm... materializm nie historyczny, powiadam wam, zatamował rozwój odrodzieńczej idei, którą jest socjalizm. Mówiłem Kautsky'emu: „Chcesz porobić z ludzi maszyny automatyczne, niewolne, bezduszne“. U podstawy każdego działania świadomego leży psychika, nie materja. Cała matematyka jest zaprzeczeniem owego materializmu, którego jakoby ostatnim jest wyrazicielem.

A religja? Patrzcie na Ulster. W imię chimery robotnik przewodzi tam nad majstrem, nad fabrykantem. Zapomnieli wszyscy o wyzysku, kapitale — pracy. Życie chce robotnik dać w ofierze za to, by kapitalista z Belfast nie płacił wyższego podatku.

Dusza ludzka jest dynamiką. Materializm to statyka. Socjalizm już uwalnia się z powijków gipsowych. Idzie w życie, tworzy, jest i musi być ruchem, nie zastoje.

Przyznam otwarcie, iż monolog Hyndmana był dla mnie kubłem zimnej wody. Miss Baldwin wskazała na zegar. Czas leciał, jak na skrzydłach. Chciałem jeszcze pytać o kontradykcję z Kautsky'm szczegółowo *à propos* materializmu historycznego, o sprawę Ulster'u, o widoki na przyszłość...

Niestety, Hyndman już szedł do biurka... „A kłaniajcie się tam Jodce i Dębskiemu“, rzucił na pożegnanie.

M. Dąbrowski.

Na marginesie.

Nie widzi się lub nie chce się widzieć, że przeszłość była kiedyś przecie rzeczywistością (inaczej wogóle by nie istniała!), i że tak samo musi terazniejszością stać się przyszłość, o ile wogóle ma nadejść. I to tak w życiu jednostki, jak narodu i ludzkości.

Nie widzi się więc, i nie chce się widzieć, że terażniejszość (ta obecna, rzeczywista) jest koniecznym, nieuniknionym ogniwem, spajającym fatalnie przeszłość minioną z przyszłością idącą. Że tak, jak z pewnej, określonej przeszłości wysnuła się taka terażniejszość, tak z tej określonej, takiej a nie innej, terażniejszości wysnuje się, bo wysnuć się musi, taka a nie inna przyszłość.

W życiu jednostki, jak w życiu narodu.

I oto, wbrew wszelkiej logice, miast *czynić swą terażniejszość i przez nią i w niej zaczynać przyszłość*, trawi się ją na marne w strachliwym odpychaniu nasuwających się myśli, w rozmywaniu płonnych beztreściwych marzeń, w bezmyślnym, starczym, plotkarskim grzebaniu się w przeszłości, w szukaniu za wszelką cenę zapomnienia, że przyszłość nadejdzie.

Miast ją samemu, wołą i czynem, zaczynać i zaczynać!

* * *

Dzisiaj znowu — ach! po raz nie wiem już który — słyszałem to pyszne: „Nie, paniel ja nie pozwolę memu dziecku czytać wybryków Żeromskich czy Wyspiańskich!.. Niel.. Czyż nie mamy klasyków? Mickiewicza?!!“

— Pozwoli Szanowna Pani, że ją spytam, czy Słowackiego już Pani do klasyków zaliczyła? czy też jeszcze nie?..

I pozwoli Pani, że ją spytam, czy się dzieła „klasyczne“ klasycznymi już zrodziły?.. A co do Mickiewicza specjalnie, spytam nieśmiało, zali obito się o uszki Sz. Pani, że dziełom Mickiewicza przez lata całe przeciwstawiano „klasyków“ właśnie, i że jego „wybryków“ nie pozwalano czytać nie tylko dzieciom tego, co Stefanek Sz. Pani wieku, ale radzono wzbrownić ich nawet dorosłym?..

Tak, tak, drodzy moi, nic nudniejszego nad historję.

Ciągle to samo, to samo i to samo. Nawet o nowość nazwy „ludzkość“ niezbyt się troszczy. Zawczoraj „klasyk“ Kochanowski czy Trembecki służył jako argument przeciwko „jakieś tam“ Mickiewiczowi; wczoraj „klasyk“ już Mickiewicz przeciwko „jakieś tam“ Słowackiemu; dziś „klasycy“ Mickiewicz i Słowacki (ten znacznie rzadziej!) przeciwko „jakimś tam“ Wyspiańskim i Żeromskim... A jutro „klasyk“ Wyspiański czy Żeromski będzie zaprzeczał praw życia nowym twórcom, dlatego tylko, że Czas nie zdążył ich jeszcze uklasyczyć (czy uklasifikować, jeśli wolicie)!

Pytam jednak, jakim prawem włączacie człowieka przyszłego czasu (dziś dziecko nasze) w owcze zagrody czasu ubiegłego? — bo nawet nie dzisiaj!

Jakiem prawem, jakim sercem — i to niby matczynem! — utrudniacie mu porozumienie z duchem epoki? przynajmniej epoki jego dzieciństwa?

Przecież i tak, gdy dorośnie, napotka dość trudu w objęciu tego nowego, co będzie wraz z czasem narastać.

A wy — bezserdeczni — przysparzać mu chcecie walki i trudów, i zmagania, i nieporozumień z Życiem, z Czasem, z Czasu duchem, włączając myśl jego w stare zagrody!

Zaliż sądzicie, że bez tych obciążań życie mu będzie nazbyt lekkie?..

* * *

Wszelkie „teorie“, dotyczące człowieka (w znaczeniu społecznym jaknajszerszym) i wszelkie teoryjki i „poglądy“ dla osobistego niby-to użytku wyznawane, a przecie głoszone z akcentem walorów ogólnych, mają swe źródło bądź w stanowisku społeczno-ekonomicznym i politycznym autora czy „wyznawcy“, bądź w jego psychofizycznej, że tak powiem, organizacji, w tem więc, do czego jest lub czuje się fizycznie, umysłowo i duchowo, a także społecznie zdolny.

I żeby nie wiem jak „znany“, „cenionym“ i „znakomitym“ był ów autor czy wyznawca „poglądu“, nie dajcie się ślepić, wejrzyjcie w podłoże!

Koniuszek uszka zawsze gdzieś wyjrzy.

Jeśli, na przykład, ktoś potępia „zasadniczo“ i bezapalacyjnie wszelki ruch masowy, społeczno-ekonomiczny czy polityczny, znaczy to tylko, że boi się masy, tłumy, ludu, jak djabeł wody święconej; że ma organiczną obawę ruchu i przestrzeni (t. z. *agorafobję*) i że o dreszcze go przyprawia już plaskanie dziecięcej pukawki.

A gdy znów inny — „zaszczytnie znany uczyony“ — głosi z katedry, czy w kółku prywatnym, w książce trytomowej, czy dwuszpaltowym artykule, że umysł ludzki nie zdolen jest zmieścić w sobie zimnej logiki badacza naukowego łącznie z polotem fantazji poetyckiej, że trzeba się musowo i koniecznie w jednej ze sfer tych zamknąć, — znaczy to tylko, drodzy, że ten „uczony“ poetą być nie zdolen.

I tylko.

— A argumenty? powiecie. Toć oni dają argumenty!

Argumentów, drodzy moi, złych czy dobrych, mówiących wiele czy zgoła nic nie mówiących, wierzajcie mi, *nigdy nikomu w żadnej sprawie nie zabraknie*. Od czegoż Bóg dał ludziom rozum i mowę?!

* * *

Stanowczo historia niczego nie uczy.

Boć gdyby czegoś uczyła, nauczyłaby przede wszystkim tych, co są w niej najbardziej „uczeni“, — historyków.

A owoż nic trudniejszego, jak właśnie znaleźć historyka z fachu, który z nauki historii bodaj by tę jedną naukę poczerpnął, że ludzkość nigdy nie spoczywa, że zawsze znajduje się — że tak powiem — w stadium równowagi niestalej, w której linja pionowa istnieje tylko idealnie, tylko jako abstrakcja wszelkich realnych, ciągłych i nieustannych odchylen.

W tej właśnie mierze „uczeni“ nasi nigdy nie są nauczeni, przeciwnie! zupełnie są nieukami, a zaprawdę wolę nieuków nieuczonych, niżli „uczonych“ nieuków.

Jeśli nawet coś wiedzą z tego, co każdy duch głębszy, co każdy szerszy umysł wiedzieć musi, to wiedzą to jedynie w stosunku do przeszłości, nigdy do czasów dzisiejszych.

Ach, bo ten „ruch“ dzisiejszy tak mąci ich martwe, wygodne konstrukcje, z przeszłości pracowicie wywleczone. Jakże pragnęliby, aby i to „dziś“ zmartwiało!

Boć tak wygodnie spać na starych, dobrze ułożonych pierzynach!

Romuald Minkiewicz.

* * *

*Radości wielkiej pełne jest dziś serce moje
W ten wiosny ranek—słońcem promienny i młody—
Szeroko swej świetlicy otwieram podwoje,
Na ucztę,—na wesele,—na święto,—na gody.*

*Wstąpcie tu, wstąpcie wszyscy. Dłoń w uścisk
serdeczny,
Wyciągam do was szczerem, braterskim witaniem
Kto za próg ten przestąpi—to już druh mój wieczny.
Weselcież się dziś ze mną złotem ucztowaniem.*

*Dajcie, o dajcie ręce! — Niech nierozzerwalny
Splot nas złączy. Niech życie szczęściem darzy
mnogiem.—*

*Ja pierwszy dziś wam daję uścisk powitalny
Przed swojej białej chaty witając was progiem.*

A. Z. Sienkiewicz.

Pisma A. Mahrburga.

W r. z. „Przegląd Wileński“ drukował moje studjum, poświęcone znakomitemu filozofowi, synowi mińskiej okolicy, Adamowi Mahrburgowi. Wtedy wzięłem asumpt z książki p. W. Spasowskiego, filozofji Mahrburga poświęconej, i nakreśliłem sylwetkę filozofa. Wypowiedziałem tam życzenie, aby wreszcie „Pisma“ Mahrburga zostały zebrane i drukiem ogłoszone. Dziś życzeniu temu stało się zadość: oto leży przed nami tom pokaźny, pierwszy z kolei, „Pism Filozoficznych“ Adama Mahrburga, świeżo w Warszawie ogłoszony nakładem księgarni „Ferdinand Hoesick“ z udziałem zapomogi kasy im. Mianowskiego. Wydawnictwo to zaszczyt przynosi zarówno księgarni, jak i kasie im. Mianowskiego.

Pod względem typograficznym jest piękne, pod względem treści jest bogate. Zostanie jako poważny kamień w gmachu naszych rozmyślań, prac i usiłowań filozoficznych. Zasluga jest niemałą wydawcy i redaktora, p. W. Spasowskiego, którego starania, nawoływania, zabiegi wreszcie uwieńczone zostają powodzeniem. Dzieło to powinno znaleźć się w każdej polskiej bibliotece poważnej, publicznej czy prywatnej, w każdym księgozbiorze. Powinno być rozchwywane przez zastępy uczniów Mahrburga, rozrzuconych po ziemi polskiej, litewskiej i białoruskiej.

Gdzież dziś nie będzie uczniów, słuchaczy Mahrburga z czasów dawniejszych pobytu na uniwersytecie warszawskim? Lekarze, adwokaci, przyrodnicy — rozpierchli się w szerokim promieniu djaspory polskiej na wschód i zachód, szukając chleba i stanowiska. Gdy słowa te wpadną im w ręce, gdy spotka się z nimi oko ich i myśl — niechaj wspomną czasy górne i chmurne młodości uniwersyteckiej: niechaj wspomną „czwartek“ na Kruczej, na Wspólnej, czy na Mokotowskiej, wieczorną godzinę, izdebkę studencką, brać w mundurach obdartych na krzesłach, na łóżku, na oknie, na ziemi siedzącą, zasłuchaną i marzącą przy świetle jedynej lampy studenckiej; gdziebądź siedzi nauczyciel i z pałeczką wyklada.

Płyną zdania, okresy z ust krasomówczych, czarodziejski głos uwodzi nas, wprowadza do mózgow polepszenia, koncepcje; buduje nowy pogląd na świat. Myśl nasza wydobywa z powijaków powierzchowności, lekkomyślnych sądów, przesądów tak zwanej filozofji. Poznanie nasze czyni krytycznym. Poznanie natury czyni nam zrozumiałym, jasnym. Wychodzimy oczarowani, w milczeniu, dojrzałsi, rozumniejsi, skromniejsi. Tak słuchamy logiki, psychologii, etyki, historii, filozofji. A w przeciwstawieniu do urzędowej wiedzy, szerzonej przez byłych seminarzystów—czujemy, że od tych kursów wieje Europą, że mocna, a szlachetna ręka wiąże myśl naszą młodzieńczą ze światem Spinozy, Kartezjusza, Giordana Bruna, Kanta, Guyau; czy nas i prowadzi, drogę wskazuje...

Uczniowie, wielbiciele — wspomną. Poczują tęsknotę. Spojrzą na portret Mahrburga, zdobiący ten tom I „Pism Filozoficznych“. Przeczytają biografję pracowitą i miłosnem skreśloną piórem W. Spasowskiego. Wzruszą się, wertując kartki tej Kalwarji życiowej: dzieje smutków, rozczarowań tego żywota. Miał być profesorem w Krakowie, mógł stworzyć własną szkołę, zorganizować wielki, owocny ruch filozoficzny. Musiał pracować w Warszawie, w najgorszych, ciężkich warunkach, biedując, niszcząc zdrowie, nie mając czasu na pisanie, więziony nie wiadomo za co; wreszcie sterany, ginąc w obłądnie po siedmiu latach męki..., zostawia rodzinę bez środków do życia.

Tę historję opowiedział Spasowski możliwie wyczerpująco. Czyta się, jak tragedję.

Czytajmy ją, a ilekroć wzruszymy się, pomyślimy, co uczynimy, aby wdzięczność serca naszego i umysłu, wdzięczność uczniów ale i obywateli, polaków, którym drogi jest postęp kultury narodowej — wcielić w czyn trwały, aby dług spłacić choć w części pamięci mistrza, przewodnika, uczonego, obywatela! Powinniśmy zabezpieczyć przyszłość rodziny, powinniśmy pamięć jego uczcić, uwiecznić w stypendjach, bibliotece naukowej jego imienia! Gdyby starczyło środków naszych, należałoby katedrę jego imienia stworzyć w którym z polskich uniwersytetów! Ale przedewszystkiem rozkupmy „Pisma“ Mahrburga. Niechaj jasnym będzie dla wszystkich, którzy go nie znali, czem był dla nas.

Z utęsknieniem wyglądać będziemy dalszych omów od p. W. Spasowskiego.

Stanisław Pozner.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Juljusz Kaden: „Proch“, powieść. Spółka nakł. „Książka“. Kraków. Składy główne: S. A. Krzyżanowski, Kraków; The Polish 600 k. importing C-o New-Jork.

Pierwsza książka czasów porewolucyjnych, która ujmuje chwilę w całokształt, której autor, spoglądając już z pewnego oddalenia, wnikliwie i czujnie wpatruje się w nasze społeczeństwo, widzi je bez krzywych zwierciadeł, jest obserwatorem bystrym, szczerym i smutnym bardzo.

Niestychana obrazowość języka widoczna w kolorowych zwięzłych nutach. Autor maluje szerokimi plamami, ma wysubtelnione poczucie dźwiękowe — wskutek czego b. szczęśliwe akcentowanie pewnych słów. Styl ma własny, odrębny, język mocą zestawień

i porównań silnie uwypukla daną rzecz. Czasem płynie on, niby przyciszone dźwięki muzyki odległej, to znów rzut ostry, jak akord pojedynczy, to rozsypuje się perłą koloratury, niby nanizane paciorki, po tafli szklanej spadające.

Smutna, boleśnie połamana dusza artysty wgląda z ram książki. Gdyby istotę muzyki mową można było wyrazić, powiedziałabym, iż książka ta jest symfonią muzyczną, oddaną słowami. I właśnie to, ten odrębny świat, z którego autor wskazuje nam życie, ta indywidualna forma patrzenia, a raczej wsluchiwania się i oddawania jego tętna daje jakiś egzotyczny powab tej książce. Można zarzucić jej nie jedno, lecz nikt nie nazwie jej banalną. Jest ona całkowicie sobą. Zamknięta w całość, własnym, odrębnym życiem żyje.

Autor kocha przyrodę. Wczuwa się w nią i niesłuchanie plastycznie oddaje. Można by dopatrzeć się pewnego pokrewieństwa z Żeromskim w tem, iż Kaden nadaje przyrodzie jej własne wewnętrzne, duchowe życie, służące częstokroć dla uzupełnienia psychologii ludzi i chwili. Zaznaczam jednak, iż nie mam tu na myśli jakiegoś naśladownictwa, bowiem autor jest i w tem najzupełniej odrębny. Kąt jego widzenia to jakby świat muzyka. Przyroda jego drga, dźwięczy, szepce; zdawałoby się, iż zawsze ją na muzykę przetransponować można:

Jako przykład:

...„Ziemia to była dziwna, zagadkowa, tajemnicza. Wydmy porosłe ostem, cierniem, wszelakiem zielskiem, ciskały się od drogi na prawo i na lewo.

To znów w falistym gruncie mętne kałuże. To znów dziury wyrwane, cuchnące. *Piszczal*, w nich wiatr — chlupała zaskórna woda.

Zdaleka dobiegał potężny rozgłos młotów. Wiadać tam było żelazną poczwarę o rozerwanem cielsku. Ze szczeliny straszliwego kadłuba *wybuchal* ostry blask i krwawymi sierpami ślizgał się po czarnych hylach.

Szła noc.

Oddech fabrycznej poczwary *blegl* po ciemnych dalach, głuchych, oślepiłych wodach, *rozdarty* wśród ostów i cierni“.

Czyż można dać bardziej plastycznym życiem drgający obraz fabryki, zjadającej setki i tysiące istnień ludzkich?

A oto nieco niżej:

„Z długiego leja chmur wyrwał się nagle księżyc. W śmiertelnej białości zdrewniała okolica. Umarłe wrzosowiska pianami lśnień zakwitły pod czarną ścianą lasu.

Ignacy, schodząc w dół, śledził ciche, znojne, szybkie, straszne *szamotanie się* chmur. Czarnymi zjadami wżerały się w księżyc“.

Nawet brudny, cuchnący wagon towarowy pociągu ma dlań własną, odrębną muzykę życia:

„Wagon jakgdyby pełen był szeptu. Papiery i śmiecie drżały po kątach. Żelastwo brzęczało głucho w trakcie przejeżdżających wozów“.

Albo znów taki obraz:

„Ogromne, czarne łaty krzewów, jak skrzepy krwi, sączące się z tego, czego sobie serce nigdy nie wyobrazi: z niezawartej rany-granicy, ziemie bratnie prującej“.

Uśpiwszy czujność straży granicznej, Ignacy (jeden z działających w książce) wyskoczył wreszcie z wagonu i znalazł się w pustym polu.

„Zdaleka *warczał* jeszcze bieg pociągu. Górki, równina, jar, ziemia z niebem przemieszana — wszystko ginęło w słodkim ukoju głębokiej nocy“.

„Z utęsknieniem *przysłuchiwał się* ziemi. Ożył stary, niezapomniany żal... nigdy nieprzebaczona wi-na cierniem owiła serce“.

Przed oczyma czytelnika przesuwają się typy z bruku krakowskiego, dające w ogólnej syntezie obraz dzisiejszego Krakowa.

I znowuż na muzykę, zda się, przetransponowane wrażenie — chwila egzaltacji przed starymi murami zamierchłego miasta, z których „*przadł się* duch starych czasów“. Oto stoi Ignacy przed kościołem Panny Maryi i św. Barbary.

„Wieki modlitwy, wieki żebranej łaski wyźłobiły w murach wnęki bolesne i kaplice przytulne. Kamień wyświechtany przykłękiem całych pokoleń, niby odwieczna plecha obrastał smukłe żebra świątyni...“

„Aż zdało się Ignacemu, że słyszy tę budowę: rozwija się od dołu, ogromnym, srogim kanonem płynie w górę, zajmuje coraz wyższe kręgi, a dobiegłszy szczytu — wieńczy się pierścieniem wież. Gdy zegary z ciszy niebiosów wywołają głośną godzinę, w pierścieniu zakwita architektury tej — ostatnie, w kamieniu zamarłe słowo: Hejnał leci lotem złocistym, niby klucz, otwiera strefy, a za nim cała świątynia w ogromnych akordach unosi się ku słońcu“.

Minął powoli rynek.

„Przedziwna postawa murów zatrzymywała go co krok. Jakieś słowa, których chyba nigdy nie słyszał, leżały na zakurzonych gzymsach. Jakieś myśli — ongi żywotne, — dziś — jeno sławy zgubionej odbłask rzewny, snuły się w bramach, okutych suto i uroczyście“.

...Począł słyszeć w murach echa, których nigdy nie słyszał.

Akordem szopenowskich, rzewnych preludji jest grotgerowski typ cici Florci, o oczach wyblakłych, które „*blyszczały* blado i mętnie, jak umarłe opale“.

Gdy Ignacy, siostrzeniec jej, dostaje się do więzienia uczucia cici Florci są dziwnie pogmatwane: błąka się tu smutek cichy, troska serdeczna obok jakiejś wewnętrznej radości:

— Ciężkie czasy, szepce, stare czasy, dobre czasy...“

Idzie Ignacy, idą młodzi, znów, znów!... Zabiega koło ratowania go, gotowa wszystko złożyć w ofierze. Z jej to pomocą wydostaje się młodzieniec za granicę. Drepce do krewnych, wyprasza dłań, wreszcie postanawia zlikwidować swe niewielkie kosztowności. Wydostaje ze starych skrytek, odwijają, zawijają stare pierścionki, kolczyki, krzyżyk ze złotym łańcuszkiem i... „długi sznur i krzyż nizany z jasnych i czystych jak rosa kamyczków — aqua marina“.

„Był to wielki skarb... marzyła, że później, w dzień powszedni, gdy nikt nie patrzy, pod straszonym murem tam, gdzie zginął pewien śmiały chłopczek z ludu, posieje w ziemię te kamyki“.

Dziś niesie je do lombardu.

Celnik obmacał, zważył i właśnie tego ostatniego bogactwa nie przyjął. W dodatku, odsuwając szarpaną i kamyki rozbiegły się po podłoże.

„Ciocia Florcia w odświeżonej swej sukni padła na kolana, szukając przy obuwiu, cofających się ludzi. Z oczyma pełnemi łez łowiła zrozpaczonemi dłońmi pospołu łzy i jasne kamienie, zimną rosą ociekające z Krzyża“.

A ileż przemyślań daje rozmowa z matką innego bohatera tej książki, Tomasza, jednego z tych „ludzi podziemnych“.

— „Widziałem, co się dzieje pod spodem naszych domów, mieszkań, szkoły, pracy. To wszystko

ma swój spód i lewą stronę. To samo o naszym kraju, mówie, myślach naszych — to samo...

— Nie dziecko, nie...

— Matko, tak! Wiesz czem my żyjemy? Nas tu, matko, długo, długo biją w mordę. Nikt niema oblicza swego na tej ziemi. Mordy mamy! pyski, w które nas tłuką. Trzeba się tylko wsłuchać. Wsłuchaj się w naszego chłopą, robotnika. W naszą szkołę. W naszego inteligenta, jeśli co wart. Wszystko się chyli. Podłazi nisko pod butem. Ostrożnie, żeby nie kopnął. A to, co wy nam w domach pokazujecie, gadacie, nie warte nic! Gdyśmy dziećmi, pokazujecie różne cnoty, przykłady. A gdyśmy o to w szkole walczyli, kto nas mitygował, jeśli nie wy? Przedłuż jakkolwiek protest konsekwentnie — dostaniesz w twarz“.

Oboje zamilkli. Ukojenie splywało na zboląłą duszę Tomasza, gdy widział teraz, że matka pojmuje go, jest z nim.

„Słodko czuwał nad nimi domowy wieczór. Przedmioty stare, zaufane stały się jakoby stróżami ukojonych myśli. Chwile szły, a Tomasz słuchał w uśpieniu niedostrzegalnego ich lotu“.

I w ten to wieczór ojciec wypędza z domu Tomasza. Ideja stanęła między nimi rozdziałem. Tomasz uchodzi, by pracować w imię jaśniejszego jutra. Odchodząc, widzi zboląłą twarz matczyną.

„Patrzył na siwe kosmyki włosów matczynych, grające dokoła głowy wiotką aureolą różowej łuny. W drzwiach zjawił się ojciec, szary jak płótno. Sine, ziemiste ręce trzymał na piersiach.“

Matka zwróciła się ku niemu. Ręce starego padły wzdłuż. Osty, coraz rzewniejszy jęk płynął z piersi. Przyciskając siwą głowę starca, która, jak wielki oset drżała na obejmującym ramieniu, z światłem przed sobą zniknęła w drzwiach“.

Co za bajeczne porównanie...

Tomasz i Ignacy spotykają się w Brukseli. Rozsnuwa się przed naszymi oczyma życie uniwersyteckie młodzieży, tej trzeciej, najmłodszej fali emigracyjnej. Oderwanie, fragmentami odtwarza autor z głęboką znajomością ciężkie borykanie się naszej inteligencji wychodźczej, sprowadzanie do minimum swych wymagań, zdobywanie wiedzy o głodzie. Typy, w kilku nieraz kredkowych rzutach zarysowane, pochwycone są świetnie. Te spory partyjne, łamanie się charakterów w trudnych warunkach, w przymusowej bezczynności, w niemożności znalezienia pracy; pesymizm tych, co widzą, że nawet „doskonałość dążenia nie rozstrzygnie celu dążeń“ — kto z nas tego nie zna?

Ignacy przechodzi tutaj istną martyrologię duszy, udrękę fizyczną i moralną. Pragnie kształcić się w konserwatorjum muzycznym, a zmuszony jest grywać godzinami aż do opuchnięcia palców — w kinematografie. Zdobywa się na nadludzkie wprost wysiłki, by opłacić wpisowe i by wreszcie po kilku latach takiej pracy, osiągnąwszy nakoniec cel, ukończywszy konserwatorjum, paść ofiarą suchot z nędzy i wyczerpania.

Tomasz, pracujący jako prosty robotnik, jest względnie szczęśliwszy. Wolne chwile spędza w bibliotece, studjuje, treść życia wkłada w rozbudzenie duszy ludu własnego, z którym styka się na obczyźnie.

Smutną tę książkę autor rozjaśnia promykiem aśniejnym epilogu.

Jest to zaranie świtu, zapowiedź czegoś, co powstać ma do życia zbudzone. Świat robotniczy,

zjazd przedstawicieli interesów robotniczych w Leodjum, wreszcie — dobrowolne formowanie się w kadry, dyscypliną zwarte.

Wacława Kiślańska.

Z salonu Rychlinga.

I.

Goszcząca u nas wystawa prac artystów polskich charakterem swym różni się nieco od zwykłych tego rodzaju pokazów. Salon Rychlinga jest przedsiębiorstwem handlowym, nie angażującym sumienia artystycznego autorów dzieł tu wystawianych. W salonach takich, jeśli się nawet spotyka obrazy mistrzów pierwszorzędnych, to najczęściej te, do których sami twórcy mniejszą przywiązują wagę. Natomiast większość płócien należy do sił młodych, szukających nie tyle popisu, ile zbytu.

Niemniej Wilno powinno być wdzięczne pp. Jurjewiczowi i Jarockiemu za sprowadzenie wystawy Rychlinga, już choćby dlatego, że stoi ona znacznie wyżej od ostatniej wystawy litewskiej. A pozatem goszczący salon, którego zasługą jest spieniężanie prac naszych notorycznych głodomorów, powinien był też zakolać i do mecenasów tutejszych.

Oczywiście, *kunsthändler*, liczący się przede wszystkim z popytem, pierwszeństwo daje dziełom, odpowiadającym gustom najpopularniejszym. Dlatego też wystawa taka nie reprezentuje poziomu artystycznego twórczości narodowej; z reguły stoi ona poniżej tego poziomu i tak też należy salon Rychlinga traktować. To nie jest popis sztuki polskiej. To jest conajwyżej wyraz upodobań tłumu.

Faktem nadzwyczaj charakterystycznym jest zupełny brak rzeźby na tej wystawie, jakkolwiek nie brak nam dziś rzeźbiarzy pierwszorzędnych. Ale dla *kunsthändlera* rzeźba jest interesem ryzykowniejszym — i to w danym wypadku decyduje.

Nie piszę tego wszystkiego z tendencją zaszkodzenia frekwencji salonu, lub pokupu dzieł. Są wśród nich i rzeczy zupełnie dobre. Atoli pewien jestem, że owe dobre rzeczy powędrują z powrotem na poddasza biednych artystów, nie umiejących przystosować się do wymagań rynku. To też są na tej wystawie prace, które już od trzech lat wędrują po rozmaitych „salonach“ i wciąż wracają do autorów, jakkolwiek mają niepoślednią wartość artystyczną. Natomiast inni malarze, jak choćby pp. Wrzeszcz, Gwiżdż, Świszcz niewątpliwie znajdą i w Wilnie chętnych nabywców, ponieważ prace ich są takie „śliczne“, takie zieloniutki, takie „prawdziwe“, że się na nich pozna i kołtun ostatni. Słonecznik, jak żywy, stoi koło chatki. Malw zdaje się rękami można dotykać. Nic nie szkodzi, że ukraińska, idąca z wiadrami, przewróci się lada moment; kozak zaś, siedzący na ziemi, gdy wyprostuje się i wstanie — ramy rozwali, gdyż zbraknie nań miejsca. Wady rysunku i brak elementarnej znajomości anatomji wynagrodzi tu swojskość motywu. Niebo błękitne jak farbka w balji, podoba się również.

Bo publiczność nasza wciąż jeszcze żąda od malarstwa odtwarzania natury ze ścisłością fotograficzną. Nie rozumie ona, że sztuka jest tam tylko, gdzie się dusza twórcy wypowiada. Widz nasz duszy

tej szukać jeszcze nie umie; woli, że tak powiem, „twórczość“ obiektywową.

Nim przejdę do szczegółowej oceny dzieł, przywiezionych przez p. Rychlinga, pozwolę sobie słów kilka powiedzieć o biorących w obecnej wystawie malarzach wileńskich. Zacznę od ich nestora, p. *F. Jurjewicza*. Jest to wybitny przedstawiciel generacji najstarszej, po-gersonowskiej, szczerze holdujący realizmowi i niepozbawiony pewnego sentymentu, a poniekąd utartego polskiego klasycyzmu w sztuce.

Sztuka nowoczesna i jej prądy przeszły, nie pozostawiając na jego twórczości żadnego wpływu. Nie tknęli go pointiliści, impresjoniści, secesjoniści; wierny jest ideałom i prądom, jakie panowały za czasów Gersona. Z wystawionych obecnie prac „Brzegi Wilji“, „Brzegi Wilejki“, „Samotnik“, ten ostatni zwłaszcza zasługuje na szczególną uwagę. Ciepły w kolorystyce, rysowany sumienną metodą starych malarzy nie blagierów.

St. Jarocki z prądów nowoczesnych zaczerpnął wiele, wszelako przetrwał je, zbyteczne rzeczy odrzucił, a zachował to tylko, co zgadza się z jego indywidualnością i pojęciami o sztuce. Dąży do pewnych uogólnień. Nie kopuje fanatycznie tego, co widzi — poetyzuje, tworzy nastroje, daje momenty ciekawe, pełne tonów głębokich, subtelnym przejściem od cienia do światła. Często bardzo miły w kolorze. Pedant, sumienny rysownik, czego dowodzą „Mimoz“ intensywnie w kolorze, stopniowaniu barw w cieniach, dobre w spojeniu bukietu w bryłę barwną, soczysta, a lekka. „Noc księżycowa“: dworek szlachecki, tonący w kębach drzew, z typowym kominem i gankiem, pławiący się w poświęcie miesięcznej. W obrazie tym p. Jarocki wydobyl wiele nastroju i odczuł chwilę.

P. St. Dąbrowski wystawił sześć studjów odręcznych z Korsyki: „Kaplica w Peraldi“, „Zatoka w Ajaccio“, „Krajobraz korsykański“, „Chryzantemy“, „Studja z Bretanii“, „Z Szwajcarii“. Wszystkie te prace dowodzą talentu, umiejętności patrzenia na naturę, rozumienia jej. Autor jednak nie pozbawiony jest i manjery, a manjera ta leży w nonszalancji, powiedziałyby, przedwczesnej. Bo brawura grubości nakładania farb jeszcze nie jest techniką; a przypadkowych plam, często nie powiązanych rysunkowo, nie można nazwać dobrym rysunkiem. Jakkolwiek artysta dąży do syntezy w ujmowaniu krajobrazu i do kolorystycznego zestawiania plam, jednakże pewne tonacje są za surowe, a pomimo szczerych chęci autora wydobycia efektów świetlnych, słonecznych i skąpania pejzażu w jarzącym słońcu, nie wszędzie rezultat ten osiąga.

Nie wystarcza malować niebo południowe kobaltem lub ultramarzyną, połączoną z bielą. Otrzymuje się wrażenie martwoty. Brak przezroczywości, powietrza, wibracji, oddychania ziemi w postaci różnobarwnych pyłków, unoszących się na horyzoncie i drgających w promieniach słońca, a stwarzających głębię i, mimo pozornie zimnej niebieskości, ciepły ton nieba południowego. Wtedy i cyprysy stopią się z niebem i odejdą na plan dalszy, tworząc powietrze pierwszoplanowe.

Grubem nakładaniem pierwszych planów nie osiąga się efektów połysku.

Ruskin powiada: „Byłoby wielkim szczęściem, gdyby malarzom nowoczesnym wydzielano minimum farb, a żądano maksimum metrów pokrytego tą farbą płótna“. Bo też same efekty można otrzymać z daleko lepszym rezultatem, nie szafując taką ilość

cią farby. Obecne prace p. Dąbrowskiego można zaliczyć do przejściowych.

P. Helena Romerówna wystawiła kilka prac, które świadczą, że autorce nie brak odwagi. Bo porywać się mogą na pejzaże zimowe ci tylko, co opalowali już w zupełności rysunek i technikę malarską.

P. Zoffa z Dębowskich Romerowa w portrecie p. prezydenta wykazała dużo dobrych chęci. Starła się rysować i szkoda, że nie rysowała tak, jak rysowany jest „starzec“ bardzo co prawda akademicki i suchy, ale nie pozbawiony pewnych zalet.

Portret zaś, poza pewnym podobieństwem, jest tekturowy, nie trzyma się w rysunku, brak odczucia ciała, brak poczucia koloru i wzajemnych wpływów świetlnych sąsiadujących barw. Ale przy dużym nakładzie pracy i sumiennoci kobiecej można się nauczyć poprawnie malować.

Portret ten jednakże, sędzę, nie dostałby się na wystawę, mającą jakiegokolwiek *jury* o wymaganiach wyłącznie artystycznych.

E. Pietkiewicz.

PRASA POLSKA.

— Korespondent petersburski prasy „realistycznej“ i endeckiej, p. Józef Kuczyński, począł od niej — wzorem kolegów swoich — wydawać patenty na polskość. Gdy świadectwa takiego z kolei odmówił pos. A. Babińskiemu oraz „Dziennikowi Petersburskiemu“, usłyszał kilka słów nieprzyjemnej prawdy.

„Wydaje nam się dziwnem, — pisze „Dziennik“ — dlaczego były współpracownik „Nowego Wremieni“ ma prawo kwalifikowania ludzi na polaków i polaczków; czyżby właśnie nowowremieńskie praktyki dawały po temu specjalne pełnomocnictwa, czy może dowodzenie na łamach tegoż „Nowego Wremieni“, że Mickiewicz był stronnikiem legiendy rytualnej i płaćanie imienia wieszczą naszego z robotą ciemnych i brudnych rąk — daje na to przywilej? Doprawdy, że nie wiemy, widzimy jednak, że „patenciarnia“ n.-decka znalazła odpowiedniego robotnika i że ten ostatni, tułający się po rozmaitych pismach, znajdzie napewno cichą a stałą przystań w portach n.-deckich.“

Oczywiście, stawać przed sądem p. Kuczyńskiego i tłumaczyć, że p. Babiński jest dobrym polakiem, a „Dziennik Petersburski“ pismem szczerze polkiem, nie mamy zamiaru.

Sama osoba sędziego, którego współpracownictwo „Dziennik“ stale odrzucał, za co może on czuć żal, z jego stanowiska uzasadniony, już na to nie pozwala.“

— Panu W. B—skiemu nie można się dziwić, że gniewa go, iż każda nowa klęska polityki pseudo-„realistycznej“ jest wodą na młyn radykałów polskich; że pozwala im „na chwilę choćby przybierać pozory mężów stanu“ i chwalić się trafnością przewidywań: „wiedzieliśmy... przestrzegaliśmy“.

Kogóż jednak nie zdziwi „publicysta“, który, choć przyznaje, że przeciwnik jego lepiej, niż on, orjentował się w sytuacji, mimo to, dalej uważa siebie tylko za wyrocznę, tamtemu zaś odmawia sensu w głowie?

A tak właśnie postępuje p. W. B—ski, który, w artykule „Dezorganizacja“ („Kur. Lit.“ № 113), swe pożałowania godne stanowisko adwokata realizmu osłania arcy-zabawnym tupetem, wprost zakrawającym na *mania grandiosa*.

Boć przecież człowiek, zdrowy na umyśle nie będzie głośno twierdził, iż każdy, kto się z nim nie zgadza, wypisuje brednie i głupstwa.

Oczywiście, bywa nieraz, że jednostka ma słuszość, a tłum się myli. Wszelako sądy takiej jasnowidzącej jednostki tylko wówczas można traktować poważnie, gdy potrafi je ona uzasadnić.

Lecz augur „Kurjera Lit.“ wcale tego nie próbuje. Zdaje mu się, że skoro powiedział *on*, p. W. B—ski, już to samo wystarcza. Głosi tedy jak z trójnoga:

Obalenie projektu samorządu miejskiego dla Królestwa miało między innymi ten skutek, iż pobudziło prasę polską do szczerych wynurzeń. I wynurzenia te odkryły przepaść — przepaść, jaka istnieje pomiędzy zdrowym rozsądkiem politycznym a niepohamowaną niczem brednią. Bowiem nie umiem znaleźć innej ogólnej nazwy na ten stek głupstw, który ukazał się na szpaltach większości (tak większości!) przeróżnych pism warszawskich, mających pretensję do politycznej niezależności i cywilnej odwagi.

Dalej zaś aż na dwu szpaltach mający p. W. B—ski o tem, co „*zdaje się* opozycyjnym prorokom“, czem w ich pojęciu jest ugoda i jak szybko załatwiliby się z kwestją polską... (gdyby im mózdków swoich pożyczili realiści).

Więc:

„Wydaliby trzy manifesty: jeden do Izb rosyjskich, że na nie gwizdzą, drugi do narodu polskiego, że z żadnych reform dziś możliwych nic mu nie przyjdzie, trzeci zaś do całego świata, iż jesteście krzywdzeni niesłusznie — i czekaliby na niewątpliwe skutki takiej akcji...“

Wreszcie lamentuje p. W. B—ski, że „*frazesy* ich działają“, zapominając, iż we własnych jego wywodach, prócz pustej frazeologii absolutnie nic niema.

Artykuł kończy się ostrzeżeniem:

„Dwa radykalizmy: narodowy i społeczny podały sobie ręce — usiłują one zaszczyć w duszach nowe fermenty, wyrwać wpływ wszelki z dotychczasowych rąk...“

Możnaby sądzić, że dotychczas wpływ na społeczeństwo mieli „realiści“ i że ich dziełem był np. rok 1905.

Z publicystami w rodzaju p. W. B—skiego trudno polemizować. Niepodobna spierać się z „realistą“, który zamiast godzić w czyjeś stanowisko, realnie ujawnione, zamiast zbijać *rzeczywiście* wypowiedane zdania, tworzy sobie w imaginacji dziwaczne fantomy i rzuca się na nie wzorem Don Kichota.

Lepsza od polemiki jest dla publicysty takiego rada: zimny okład na głowę.

Jeżeli jej nie posłucha, może łączo z Augura przedzierzgnąć się w Augusta.

Na widnokręgu.

Najważniejszym wypadkiem dnia jest przesilenie gabinetowe we Francji, mające ścisły związek z kolizjami, wyłaniającemi się na tle polityki między państwowej.

Wskazuje na to przedewszystkiem fakt ustąpienia Doumergue'a bez żadnej widocznej przyczyny. Przeciwnie nawet: pomyślnie przeprowadzone wybory do izby deputowanych zdawały się rokować gabinetowi żywot conajmniej jeszcze kilkomiesięczny. Drugą zaś wskazówką była trudność skompletowania nowego ministerjum.

Obie te okoliczności stąd wynikają, iż względu francuskiej polityki zagranicznej narzucają rządowi

republiki upieranie się przy trzyletniej służbie wojskowej, podczas gdy nietylko większość deputowanych, ale nawet sami ministrowie zasadniczo są jej przeciwni. Wiadomo, iż zarówno Doumergue, jak i pierwszy kandydat na jego miejsce, Viviani, głosowali w swoim czasie przeciw przywróceniu dawnego terminu służby.

Przeniósłszy się z ław poselskich na fotele ministerjalne, zmienić musieli swój stosunek do tej reformy; lecz nie zmienili go ich towarzysze partyjni. Stąd zaś wynika, że tryumf stronnictw, do których należą ministrowie nie był dla ministrów tych powarciem, ale kłopotem.

Wprost powiedzieć można, że konflikt wynika stąd, iż Francja zmuszona jest obecnie w swej polityce militarnej działać przeciw własnemu przekonaniu (t. j. przeciw przekonaniu najsilniejszych swych stronnictw). W społeczeństwie zyskują popularność wskazówki Jauresa, który radzi dążyć do uzbrojenia narodu, wzorem Szwajcarii. Wkroczeniu jednak na tę drogę przeszkadza obawa, jak odbiłoby się to na trwałości aliansu.

Mamy tu więc jaskrawą konsekwencję przeciwnego naturze małżeństwa z rozsądku.

Coraz wyraźniej też zarówno w pismach rosyjskich, jak francuskich odzywają się kwaśne uwagi.

„Now. Wr.“ ostrzega Rzeczpospolitą, by nie igrała z ogniem: „Jeżeli z dwu grup (socjalistów i radykałów) utworzy się w izbie francuskiej taka większość, która poleci gabinetowi zlikwidować trzyletnią służbę wojskową... zrodzi się wówczas pytanie, czy republika francuska z osłabioną armią będzie mogła wypełnić obowiązki, które wkłada na nią traktat rosyjsko-francuski“.

„Birż. Wied.“ również przypominają aljantce Rosji jej zobowiązania militarne. „Pietierb. Gazieta“ zwraca uwagę, że redukcja armii francuskiej naruszyłaby „system, oparty na aljansie i trojporozumieniu“; wreszcie „Piet. Kurjer“ oświadcza, że „prawo wojenne jest nie tylko podstawą wewnętrznej polityki Francji; dotyczy ono również stosunków, wynikających z przymierza franko-rosyjskiego“.

Gdy przypomnimy sobie głosy dzienników paryskich na temat kwestji polskiej, spostrzemy, w jak charakterystyczny sposób aljanci usiłują wzajemnie wpływać na swoją politykę wewnętrzną tam, gdzie się ona kojarzy z zewnętrzną.

O ile wszakże w uwagach tego rodzaju prasa usiłuje zachowywać ton przyjacielski, o tyle powstałe ostatnio komeraże na tle finansowym chwilami odbierają jej panowanie nad sobą. Gwałtowny spadek walorów rosyjskich na giełdzie paryskiej, będący następstwem pomysłów w rodzaju nacjonalizacji kredytu — to już nie tylko słowa, ale czyn — czyn w dodatku, względnie jeno zależny od woli polityków francuskich. Projekt ograniczeń w towarzystwach akcyjnych, i pogłoski o skrępowaniu kapitalistów obcokrajowych i żydowskich etc. — przekonały finansistów europejskich, że w Rosji istnieją możliwości, gdzieindziej nieznanne, nie brane dotąd w ruchbę i sprzeczne z podstawami dzisiejszych stosunków ekonomicznych. Stosunki te opierają się na kosmopolityzmie kapitału — oto zasada pierwsza. Państwo, czyniące na nią zamach, musi być przygotowane na nieobliczalne konsekwencje. Sama bowiem już możliwość takiego zamachu, zgoła obca przewidywaniom rynków pieniężnych, znacznie rozszerza zakres ryzyka, a tem samem onieśmiela kredyt.

W dodatku wkroczenie nacjonalizmu na teren rosyjskiego życia ekonomicznego zbiegło się obecnie z innymi jeszcze okolicznościami: Francja przygotowuje się do nowej wielkiej pożyczki wewnętrznej, której w pewnej mierze zawadza przeładowanie rynku paryskiego walorami rosyjskimi; dalej wojna meksykańska jest dla Francji, zaangażowanej w papierach meksykańskich, niemal katastrofą; wreszcie i przesilenie albańskie budzi wśród finansistów niepokój.

Nie uwzględnia tego wszystkiego prasa petersburska, która wyrzuca giełdzie paryskiej, jakoby sztucznie deprecjonowała walory rosyjskie. Do tego zaś dodają pisma nacjonalistyczne, że francuzi opanowali wiele dziedzin przemysłu rosyjskiego.

Odpowiedź na to wszystko brzmi krótko i szorstko: „Odkupcie swe walory, skoro obawiacie się wpływów cudzoziemskich.“

Stosunki między aljantami tracą więc coraz bardziej dawny idylliczny charakter. Równocześnie zaś dostrzegamy wysiłki Niemiec, by owe nieporozumienia na swoją korzyść obrócić. Radeby one ujrzeć powrót do władzy wypróbowanego przyjaciela swego, hr. Wittego, który — jak wiadomo — jest zwolennikiem przymierza rosyjsko-niemieckiego z dopuszczeniem doń (albo nawet wciągnięciem siłą) Francji.

To też coraz częstsze objawy wzrastających wpływów tego męża stanu niepokoją prasę paryską. „Temps“ ostrzega przed Wittem, jako przed zdecydowanym wrogiem trójporozumienia. Gdy zważymy, iż równocześnie Francja i Anglja nie zaniedbują niczego, by rozluźnić związek Włoch z trójprzymierzem, łatwo przyjść do wniosku, że proces rozkładu obecnych konstelacji postępuje dziś w tempie przyspieszonym.

KRONIKA.

== O „Boże coś Polskę.“

Departament karny senatu rozpatrzył skargę apelacyjną pp. Kobylińskiej i Rozenberżanki, na wyrok wileńskiej Izby sądowej, skazujący p. Rozenberżankę na 1 miesiąc, a p. Kobylińską na 20 dni twierdzy za śpiewanie w kościele sw. Katarzyny hymnu „Boże coś Polskę“.

Obie skazane przez wileńską Izbę sądową senat uniewinnił.

== Wstrzymanie pielgrzymki.

Gubernator wileński nie dał pozwolenia na urządzenie pielgrzymki z parafji WW. Świętych w Wilnie do Częstochowy na tej podstawie, że prawo nie przewiduje urządzania pielgrzymek poza granice guberni.

== Nowy biskup żmudzki.

Stanowisko biskupa Karewicza wobec stosunków polsko-litewskich odrazu wyraźnie się zaznaczyło. Bez wiedzy kapituły kowieńskiej mianował on na wyższe stanowiska duchowne najwybitniejszych przedstawicieli nacjonalizmu litewskiego.

== Walka z ukraińcami.

W Kamieńcu Podolskim policja dokonała rewizji w lokalu ukraińskiego tow. „Proświta“ i opieczętowała całą bibliotekę. Poza to dokonano również rewizji u 11 członków tegoż tow. i wszędzie konfiskowano literaturę ukraińską.

W Strzelczynku (gub. podolska) oficer żandarmerji dokonał rewizji w miejscowej czytelnicy i bibliotece, oraz w mieszkaniach zarządzającego i bibliotekarzy.

Zabrano z biblioteki 30 książek ukraińskich, a z miesz-

kań prywatnych komplet „Rady“ z r. 1912 i książki ukraińskie. Jednocześnie zarządzono badanie osób rewidowanych, poczem spisano protokół i oficer żandarmerji zawiadomił zarządzającego biblioteką, że ta będzie zamknięta.

== Okólnik gubernatora wołyńskiego.

„Birz. Wiedom.“ drukują następujący okólnik gubernatora wołyńskiego, Mielnikowa, do prezesów zarządów ziemskich:

„Wobec wiadomości, które zjawily się w dziennikach, o dążeniach kierowników społeczeństwa polskiego do uchwycenia w swoje ręce urzędów sekretarzędów w nowo utworzonych w sześciu guberniach zachodnich zarządach ziemskich, oraz o możliwości rozszerzenia się podobnego dążenia na inne urzędy ziemskie, — obawiając się możliwości urzeczywistnienia tego dążenia — uznalbym za konieczne zachowywanie ostatecznej ostrożności przy zmianie urzędów w służbie ziemskiej przez osoby, zapraszane przez ziemstwa“.

(Tu następuje wyczerpanie urzędów).

„W tym celu proszę pana o zastosowanie wszelkich odpowiednich środków, aby wyliczone urzędy obsadzać wyłącznie przez osoby pochodzenia rosyjskiego, w szczególności zaś proszę zwrócić uwagę na konieczność jaknajsurowszego wyboru w obsadzeniu posady sekretarzędów jako osoby, w których rękach koncentrują się najrozmaitsze i nawet tajne sprawy“.

== Sprawa Czebierakowej.

W kijowskim sądzie okręgowym rozpoczęła się serja spraw o potwarz w druku, wytoczonych przez głośną ze sprawy Bejlisa „Czebieraczkę“, przeciwko redaktorom i współpracownikom kilku pism kijowskich.

Czebierakowa uczuła się obrażoną artykułem A. Jabłonowskiego, w którym twierdził on, iż mieszkanie jej było kryjówką złodziei, że w mieszkaniu tem dokonano zabójstwa Juszczyńskiego, że „w celu ukrycia zabójców wodziła ona za nos całą Rosję“.

Podpułkownik Iwanow, sędzia śledczy Fenenko, b. rewizory Kirczenko i kilku innych świadków kategorycznie stwierdziło, iż mieszkanie Czebierakowej było miejscem schadzek złodziei. Niezależnie od tego, Fenenko dodał, że jest głęboko przekonany, iż Czebierakowa umaczała ręce w zabójstwie Juszczyńskiego.

Sąd ogłosił wyrok uniewinniający Aleksandra Jabłonowskiego.

== Komunikat Koła Polskiego.

W pismach narodowo-demokratycznych pojawiła się następująca depesza z Petersburga: „Wobec odrzucenia przez Radę Państwa samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem kilku członków Koła Polskiego zgłosiło wniosek, by Koło gremjalnie złożyło mandaty poselskie. Na odbytej specjalnej naradzie Koła w tej sprawie przeważała opinja, że przedstawiciele dwunastomiljonowego narodu nie mogą porzucać swych stanowisk bez porozumienia się z krajem“.

== Sprawa 82-ch o należenie do P. P. S.

Warszawska Izba sądowa z udziałem przedstawicieli stanów po trzytygodniowych rozprawach ogłosiła wyrok co do 71 osób z pośród 82, oskarżonych o należenie do frakcji rewolucyjnej Polskiej Partji Socjalistycznej i o dokonanie 36 zamachów politycznych.

Wyrokiem Izby skazano 30 osób na ciężkie roboty, 30 na osiedlenie, 11 osób uniewinniono.

Ze skazanych na ciężkie roboty najwyższą karę (po lat 12), wymierzono oskarżonym: Czelińskiemu, Sukiennikowi, Koneckiemu, Kostrzewskiemu, Wąsakowi, Wciśle oraz (10 lat) Zajączkowskiemu; dr. Brzozowski i Dowbór — po lat 8.

Uniewinnieni zostali: Brzozowska, Gocala, Dawczyk, inż. Chatkiewicz, Chorobacki, Kowalski, Mrówka, Kuśmierski, inż. Surzycki, Stolarski, Erwajowa i Gliksonówna.

== Wyrok w sprawie Bendasiuka.

We Lwowie zakończył się proces w sprawie Bendasiuka, oskarżonego o zdradę stanu.

Przysięgli zaprzeczyli wszystkim pytaniom jednomyślnie, a tylko na pytanie w kierunku występkę przez obrazę kościoła, prawnie w państwie uznanego, skierowane przeciw Sandowiczowi, odpowiedzieli 2 głosami tak, a 10 nie.

Po ogłoszeniu wyroku uwalniającego wszystkich oskarżonych wypuszczono na wolność.

Treść:

Pod wrażeniem ostatniej powieści Reymonta —
Wi—ski.

Szkice warszawskie — L. A.

Z pod Wawelu — J. Krzesławski.

Z wędrówek po Londynie — M. Dąbrowski.

* * * (wiersz)—A. Z. Sienkiewicz.

Na marginesie — R. Minkiewicz.

Pisma A. Mahrburga — St. Posner.

Przegląd piśmienniczy — W. Kiślańska.

Z salonu Rychlinga — E. Pietkiewicz.

Prasa polska.

Na widnokręgu.

Kronika.

Nora Walicka. POEZJE:

PROMETEJA,

WRÓG,

NA DNE BORÓW

DRZEMIE LICHO.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

!! Ostatnie przypomnienie !!

Dostępna dla każdego możliwość zakupu działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzyni”. Miejscowość ładna i zdrowa; las, rzeka. Ceny i warunki dogodny. Śpiesznie nabywać! Do sprzedania pozostała nader szczupła ilość gruntu. Zabezpieczcie się—kupić możecie tylko w tym sezonie. Po informacje należy się zwracać do Biura sprzedaży parceli w Zwierzyni:

Wilno, Zwierzyniec, Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Telefon № 46.

Informacje są udzielane w ciągu całego dnia, nie wyłączając świąt.

Wileńskie Towarzystwo

Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia

egzystuje od roku 1883,

naęące do Rosyjskiego Związku Towarzystw Wzajemnych ubez. od ognia z kapitałem 7.000.000 rb.

Asekuruje na warunkach ulgowych nieruchomości i ruchomości w Wilnie, jak również nieruchomości w m. Nowo-Wilejsku, Lidzie, Święcianach, Nowo-Swięcianach, Kownie, Szawlach i Poniewieżu.

Zarząd T-wa w Wilnie, ul. Wileńska № 15.

Biuro czynne codziennie od god. 10 do 3-ej p.p., za wyjątkiem dni świątecznych i sobót (w okresie od 1-go maja do 1-go września włącznie).

Biuro pedagogiczne

M. Wojewódzkiej, właścicielka
E. KREMER.

W. Pohulanka 7, tel. 2-36.

Nauczycielka — duże doświadczenie, wyższe kursy.

Francuska — świeżo przybyła z Paryża, młoda, skromna.

Bony niemieckie i rosjanki, szycie, doskonale świadectwa.

Francuski, niemiecki, nauczycielowie i nauczycielki
na lato.

!!Do wiadomości P. p. cyklistów!!

W pracowni mechanicznej

S. A. SZAWEDANCA

Nowogrodzka, dom № 13

Przyjmowane są do reparacji:

ROWERY, GRAMOFONY, MASZyny DO SZycIA,
PISANIA i ROBIENIA POŃCZOCH.

!!ROWERY DO WYNAJĘCIA!!